

PRZEGLĄD WILEŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

KIEROWNIK PISMA LUDWIK ABRAMOWICZ.

CENA PRENUMERATY: w Wilnie		REDAKCJA i ADMINISTRACJA	CENY OGŁOSZEŃ:
Rocznie - - - - -	6.	Ś. Jerska 15 m. 26	Przed tekstem za wiersz petitu - - - 50 k
Półrocznie - - - - -	3.	Otwarte codziennie prócz świąt od godziny 11 do 3 i od 5 do 7.	W tekście (nadesłane) - - - - - 1 rb
Kwartalnie - - - - -	1.50	Skrzynka pocztowa № 52	Po tekście - - - - - 20 k
Miesięcznie - - - - -	50		
Z przesyłką poczt. dostarcz. do domu			Numer pojedynczy 15 kop.
Rocznie - - - - -	7.—		
Półrocznie - - - - -	3.50		
Kwartalnie - - - - -	1.75		
Miesięcznie - - - - -	60		

O potrzebie programu ludowego.

Zadaniem publicystyki społecznej jest analizować stosunki i ciągnąć z analizy tej wskazania na przyszłość, torować drogi dojrzewającym procesom rozwojowym przez odpowiednie budzenie świadomości i kształtowanie ruchu w kierunku określonym. Ruch świadomy winien się opierać na programie, który oczywiście nie może być owocem pracy gabinetowej i nie powinien być narzucany, jeno wypływać bezpośrednio z życia i streszczać formuły potrzeb, stanowiących istotny punkt wyjścia w rozwoju społecznym.

Publicystyka sama przez się stworzyć programu nie zdoła, ale jako narzędzie pomocnicze w konstruowaniu takowego gra rolę olbrzymią i powinna być stanowczo w tym celu użytkowana. Przez odpowiednie zagajenie tematów, przez uwydatnienie istotnych czynników rozwoju, przez systematyczną analizę stosunków publicystyka wyznacza punkty orientacyjne, z których już wychodzą drogi poszczególnych kierunków programowych.

Wiemy, jaką rolę w późniejszym ukształtowaniu się programów i stronnictw polskich odegrały pisma periodyczne takie, jak „Głos” I. K. Potockiego, lub „Przegląd Tygodniowy”. I taką samą rolę u litwinów odegrało pismo „Varpas”, lub odegrywa społecznie „Lietuvos Žinios”.

U nas, w krajowej demokratycznej prasie polskiej, zadanie to ma wzięcne pole przed sobą. Lecz żeby pismo zdołało wypełnić skutecznie tę funkcję społeczną, powinno ono ustalić więź systematyczną pomiędzy poszczególnymi artykułami, drukowanymi na szpaltach jego. Samo bowiem oderwane traktowanie raz tego, to znów innego tematu, bez echa i dalszego rozwinięcia myśli poruszonych, nie wystarczy. Publicystyka ma swą właściwą metodę działania, która musi być starannie przestrzegana. Artykuł w piśmie periodycznym jest z natury ulotnym, działa może intensywnie czasem, ale na krótką metę, jest prędko zapomniany i silniejszego wpływu sam przez się w warunkach przeciętnych mieć nie może. Tą drogą w powodzi prasy periodycznej,

przy nieumiejętnem stosowaniu metody publicystycznej, marnują się nieraz i giną istne perły myśli, spostrzeżeń i wniosków, zawartych w artykułach poszczególnych. Jak ogień winien być sycony stale i konsekwentnie dla osiągnięcia maximum ekonomiki ciepła, tak artykuły poszczególne w organie periodycznym winny się kojarzyć i uzupełnić wzajemnie w określonej więzi logicznej dla wyczerpania z nich maximum pożytku społecznego.

Ponieważ redakcji naszej chodziłoby bardzo o to, aby „Przegląd Wileński” stał się tem żywym ogniskiem kształtowania się myśli demokratycznej w kraju i dał pracą swą podłoże do przyszłej budowy programowej, przeto na tę właśnie ciągłość i więź systematyczną artykułów społecznych pragniemy położyć nacisk wyraźny. Szereg artykułów, dotychczas drukowanych u nas, że wymienię tu takie, jak „Być czy nie być”, „Idea Jagiellońska”, „Emigracja włościańska do Ameryki”, „Handel i Żydzi”, „Pretensje”, i „Zastrzeżenia”, „Ewolucja własności ziemskiej i ruch kooperacyjny”, „Świt”, „Demokracja i rozwój narodowościowy”, „Wynurzenia białoruskie” i „Nieporozumienie” i inne, dają już początek tego rodzaju pracy i stanowią pierwszą garść przyczynków do ujęcia najpilniejszych dziś zagadnień krajowych w zakresie spółzycia narodowościowego, roli elementu polskiego wobec demokracji krajowej, kształtowania się stosunków i potrzeb ekonomicznych klasowych i t. p. Rozwinięcie i pogłębienie tych tematów czy to w postaci rozszerzenia analizy i wnioskowania czy też w dyskusyjnej postaci zastrzeżeń, uzupełnień i przeciwstawień, oraz uwydatnienie szeregu innych nietkniętych dotychczas a nader ważnych zagadnień, zwłaszcza z dziedziny ściśle społeczno-ekonomicznej — winno być i będzie przedmiotem naszej dalszej pracy.

Otoż tu, nawiązując myśl moją do szeregu artykułów, umieszczonych już w piśmie naszym, i zwłaszcza do artykułów p. Zenona Kuncewicza o ewolucji form własności ziemskiej i ruchu kooperacyjnym (№№ 14 i niniejszy „Przeglądu”), chcę poruszyć temat, zdaniem mojem, bardzo u nas żywotny.

Wiemy, że kraj nasz jest krajem drobnej własności i drobnej produkcji. Wielki skoncentrowany

przemysł kapitalistyczny nie zdołał się u nas rozwinąć dotychczas. Proletariat nasz, rekrutujący się bądź z ludności miejskiej, bądź z włościan bezrolnych, szukać musi zarobków poza krajem i emigruje corocznie czy to na stałe czy na czas jakiś do Ameryki lub do większych ośrodków fabryczno-przemysłowych, do Petersburga, do okręgu Moskiewskiego, do Rygi, Lipawy, i t. d. Produkcja krajowa nie zużytkowuje dziś wszystkich miejscowych rąk roboczych. Proletariat, który zostaje w kraju, znajdując zatrudnienie w drobnych fabrykach, warsztatach rzemieślniczych, w handlu, w usługach osobistych, lub w zarobkach i na służbie na wsi w rolnictwie, — jest rozproszony, ciemny, niecementowany w jednolitą świadomą swych odrębnych interesów klasę społeczną. Niema tu tego ostrego przedziału, który odgranicza stanowczo i wyraźnie robotników — proletariuszów od klas posiadających w przemyśle fabrycznym.

Stopniowanie przedziałów społecznych jest u nas mniej ostre, stare przeżytki ideologiczne utrzymują się głębiej i ściślej w umysłowości, i wogóle postęp społeczny nie może być jeszcze dziś u nas li tylko z klasy proletarjackiej wysnuty.

Dziełem olbrzymiej doniosłości, którego skutki bynajmniej się jeszcze nie rozwinęły do swych kresów logicznych i pod którego znakiem jesteśmy dotychczas, dziełem niewątpliwie postępu — było usamowolnienie i uwłaszczenie włościan. Dzieło to nie może być uważane za fakt jednorazowo dokonany; jest ono zjawiskiem ciągłym, procesem dziejowym, który się w swych konsekwencjach rozwija systematycznie i logicznie w określonych ogólnych warunkach kultury i polityki. W ramach tego zjawiska, w jego, że się tak wyrażę, znaku i barwie mieszczą się najgorętsze dziś zagadnienia krajowe nasze, jak sprawa narodowościowa (ruch litewski, ruch białoruski), stosunek wzajemny i rola oraz ustalanie się względnego ciężaru gatunkowego poszczególnych kultur narodowych, proces przekształcania się starych stanów społecznych w klasy, dalej sprawa kooperacji, komasacji i t. d., których znaczenie dla rozwoju społecznego jest miary olbrzymiej.

Można się zgadzać lub nie na pojmowanie przez p. Z. Kuncewicza smutnej roli dewastacyjnej

wielkiej własności ziemskiej w kraju, można podzielać lub nie — jego pesymistyczne wnioski co do przyszłości takowej, ale w każdym razie w artykułach tych uwydatnił on znakomicie, o ile to w ramach publicystycznych zrobić można, pierwszorzędną i kapitalną wagę w naszym rozwoju ekonomicznym i kulturalno-społecznym — kooperacji, jako tej formy zrzeczenia potrzeb i środków, która dźwignąć zdoła kraj na wyższy poziom ustroju kapitalistycznego, czego dokonać nie zdołała wielka własność indywidualna w latyfundiach i co się też z innych przyczyn natury ogólniejszej nie dokonało w innej drodze — w drodze rozwinięcia się fabrycznego przemysłu przetwórczego.

Nader treściwie i trafnie zwłaszcza uwydatniona została w artykułach p. Z. Kuncewicza zasada oparcia tego narastającego ruchu kooperacyjnego na bezpośrednim czynniku potrzeb przez stopniowe rugowanie zeń elementów filantropji, praktyk i celów ubocznych i t. p. i stawianie się kooperacji wyrazem demokratycznego hasła „sami sobie“. Ekonomiczno- i kulturalno-społeczny rozwój kraju naszego, będący dziś niewątpliwie wyrazem postępu, leży w linii kierunku rozwojowego drobnej własności ziemskiej (włościańskiej). Tu, w tych stosunkach starego stanu włościańskiego, który się dziś rozkłada na klasy ekonomiczne i wyłania szereg zagadnień natury ekonomicznej, społecznej, politycznej, kulturalnej, narodowościowej, streszczają się dziś u nas kapitalne założenia postępu społecznego.

Sprawa ludowa, mająca u nas wagę pierwszorzędną, musi wytworzyć sobie wskazania programowe, musi ukształtować się w świadomości swych rzeczników bezpośrednich. Programowe uplanowanie rozwoju staje się coraz bardziej potrzebą bieżącą dla rozwiązania zagadnień i dania najlepszego ujęcia potrzebom, które dziś dojrzały i stały się już czynnymi. Program taki ogarniać musi tak sprawę narodowościową, stosunek wzajemny kultur, rozwiązania kwestji spółzycia obywatelskiego, jak sprawy ekonomiczne i przedewszystkiem sprawę kooperacji i komasacji, dalej sprawę stosunku do innych klas lub mocnych jeszcze u nas pozostałości stanowych, stosunek kraju do państwa i ustawodawstwa państwowego, sprawy gospodarki społecznej i samorządu, — i t. d.

WACŁAW GRUBIŃSKI.

Kochankowie. *)

AKT I. Dzieje się w Paryżu.

Wykwintnie urządzonej salon. W prawej nieco skośnej ścianie dwa wielkie okna, zasłonięte wrzorstymi storami. Wlewej ścianie, na której wiszą trzy duże obrazy — drzwi do dalszych pokojów. Ściana poprzeczna mieści dwoje drzwi: ku lewej stronie jedno, przedpokojowe, ku prawej, niemal pośrodku, drugie, prowadzące do różowego buduaru, w którego głębi stoi niskie łóżko obwieszane koronkami

SCENA I.

Z przedpokoju wchodzi wytwornie ubrana Helena, za nią lokaj.

HELENA. Nie było nikogo?

LOKAJ (odbiera zarzutkę) Nikogo, proszę pani.

*) Jako komentarz do utworu poniższego służy list autora, zamieszczony na innym miejscu.

HELENA

Odprawia lokaja małym ruchem ręki i zbliża się do okna. Patrzy przez storę, tak że od ulicy nie jest widziana — uśmiecha się ostrożnie, odstępkuje krok i znów się zbliża. W ruchach jest urocza, o rysach twarzy niesłychanie pociągających, wygląda najwyżej na lat dwadzieścia pięć, choć ma skończonych trzydzieści osiem. Patrzy. Czarowny uśmiech stopniowo znika z jej namiętych ust. Patrzy jakby za kims, kto odchodzi. Odszedł. Już na ulicę nie patrzy; oparła oczy na pierwszym obrazie; stoi zadumana. Zrobiła ruch, jakgdyby chciała odejść, lecz przedtem spojrzęła jeszcze przez storę. Niby nagły blask słoneczny znów na jej twarzy zapalił się uśmiech. Patrzy wesóło na kogoś, kto — wraca. Znowu ostrożnie odstępowała krok. Nagle — niedowierzanie... podeszła blisko — do samego okna... ogląda się raptownie na drzwi przedpokojowe... oczy jaśnieją... niepewność... znów przysunęła się do szyby... teraz pewność, pewność... odbiegła na środek pokoju. Cisza. Dzwonek, Uśmiech. Chwila.

Wchodzi lokaj z biletem na tacy.

Prasa programu takiego, jak to już mówiłem, wytworzyć sama nie może i nie powinna; zadaniem jej jest jeno przygotować grunt przez uwydatnienie potrzeb, stosunków i zagadnień społecznych oraz wyłuskanie z nich pewnych wskazań. Praca taka już się w naszej publicystyce krajowej prowadzi przez pisma ludowe — litewskie „Lietuvos Ukininkas“ i białoruską „Naszą Niwę“ oraz litewskie pismo inteligentkie „Lietuvos Žinios“.

Tę pracę solidarnie wszystkim tak litwinom, jak polakom i innym prowadzić należy, jako zadanie postępu krajowego.

Ale oczywiście przedewszystkiem sprawa ludowa i program jej muszą być oparte na założeniach ściśle demokratycznych, to znaczy na hasła „sami sobie“. Nie filantropja, nie łaskawa opieka czyjaś, nie pasterstwo i przewodztwo wytworzą rozwój, jeno czyn zbiorowy i samodzielny zdołu, czyn demokratyczny, potrzebami i ich świadomością dyktowany. I tu kierunek demokratyczny musi wejść w starcie nieodwołalnie tak z przeżytkami patryjarchalizmu, które zresztą wymierają same przez się i z natury swej drapieżne nie są, jak zwłaszcza z potężnym i roszcującym uparciwem prawo do dominacji klerykałizmem, jako — zastrzegam się — zjawiskiem *społecz-nem*.

Powtóre zaś sprawa ludowa i program jej muszą być nie wyłącznie narodowościowe, lecz krajowe. Sama nawet sprawa narodowościowa musi się mieścić w demokratycznym krajowym programie ludowym, jako część składowa niezbędna takowego. Względę natury poprostu technicznej, jak język, różnice psychologiczne i t. d., mogą i muszą oczywiście podzielić wspólną robotę na sekcje wykonawcze litewską, polską, białoruską i t. d. ale bądź co bądź interes ludowy i ruch ludowy musi być jedyne tak w swych założeniach wspólnych, jak we wspólnym planie.

Michał Römer.

HELENA (*spokojnie odczytuje kartę.*) Proś (*ode-szła do lewych drzwi i czeka przy progu*)

Po chwili wchodzi nieśmiało, wprowadzony przez lokaja Wiktor de Toureille. jest to ładny, elegancki młodzian lat około dwudziestu, pełen świeżości, szczupły, ale nie chudy, z zaczątkiem wąsików.

LOKAJ się oddalił.

Wiktor de Toureille nie spostrzegł Heleny, gdyż wszedł półzwrócony w stronę okien. Stoi zakłopotany, potem lekko spogląda naprawo.

WIKTOR (Ach! składa Helenie niezbyt zręczny ukłon).

HELENA (*poważnie skinęła głową i wolno zbli-ża się do gościa*). Pan de Toureille?

WIKTOR Tak... Pani

HELENA (*wskazuje krzesło; siadają*) Co pana do mnie sprowadza?

WIKTOR (*przekręcił kapelusz, który trzyma w rękach, i milczy. Chciałby coś powiedzieć, ale jest*

Ewolucja form własności ziemskiej i ruch kooperacyjny.

II.

Nauka ekonomji politycznej w końcu wieku XIX dowiodła, że schemat Marksa o koncentracji produkcji, potwierdzający się i obecnie nieraz w industrii, w sferze gospodarstwa rolnego bankrutuje zupełnie. Udowodnione zostało, że, zagranaicą, małe gospodarstwa rolne konkurują z łatwością i skutecznie z dużemi, i że ruch kooperacyjny, jednocząc tysiące drobnych gospodarstw dla rozmaitych celów ekonomicznych, staje się źródłem tworzenia ogromnej ilości kapitałów, zupełnie wystarczających dla kulturalnego obsługiwania potrzeb wzrastającej ustawicznie drobnej produkcji rolnej.

W niedalekiej przyszłości i my tu na Litwie i Białejrusi będziemy świadkami cichego, lecz głębokiego przewrotu w naszej gospodarce społecznej. Istota przewrotu tego polega na tem, że zasada indywidualna, do tak niedawna jeszcze wprost apoteozowana przez rzeczników ideologii burżuazyjnej, musi w dziedzinie twórczości materialnej ustąpić z konieczności miejsce kolektywizmowi, jako wyższej formie produkcji i spóży-cia społecznego.

Śród innych czynników, prowadzących do celu tego, najpoważniejszym właśnie czynnikiem konstrukcyjnym w dziedzinie naszych stosunków ekonomicznych jest kooperacja. Ideja jej nie nowa i wiedzie swój rodowód od R. Owena, Saint-Simona i innych socjalistów-utopistów, którzy dążyli do usunięcia wyzysku przez organizację spóży-cia i produkcji, lecz, przeceniając wartość duszy ludzkiej, nie liczyli się z tymi warunkami obiektywnymi, śród których asocjacja miała się rozwijać. To też spóczesna odrębność jak warunków zewnętrznych, tak i poglądów na wewnętrzną treść psychiczną przeciętnego członka kooperacji stwarza dla niej inny grunt materialny i inne podstawy psychiczne egzystencji. Kooperacja spóczesna nie jest formułą nawiązaną z góry, — jest ona wyrazem życia i, jako taka, musi mieć głęb-

zmieszany, choć pełza mu w oczach iskierka zuch-walstwa; za tym mieszanem, niby za cieniutką siatką, widać wyraźnie chłopca śmiałego, a może nawet urwisa).

Boję się, żeby pani... nie wzięła mi za złe... Muszę zabawnie wyglądać... Niech mi pani wybaczy...

HELENA. Dotychczas nie wiem jeszcze, co mi pan każe wybaczać.

WIKTOR. Ależ... no... (*podejrzliwie*) Nie wie pani? Że pozwoliłem sobie... nie mając przyjemności osobiście znać pani... (*kręci kapeluszem*). Pani jest polką.

HELENA. Czy to pozostaje w związku...?

WIKTOR. Z mojem przybyciem? Nie, bynajmniej. ...Ja także jestem polakiem.

HELENA (*nieznacznie uśmiechnięta i trochę zdzi-wiona*). Tak...?

WIKTOR. Nazwisko mam francuskie... Tak, jak pani. ...Tak, jak pani.

sze podstawy rzeczywistości; żywotność każdego ruchu i każdej instytucji społecznej mierzy się charakterem jego idei, jego doniosłością życiową, a więc praktyczną. I w tym też wypadku konkretnym podstawową ideją praktyczną ruchu kooperacyjnego jest pominięcie w organizacji produkcji i spożyciu — przedsiębiorcy i pośrednika. Wprawdzie zdecydowany kolektywista napotyka istotnie w konkretnym życiu kooperacji cały szereg kwestji, sprzecznych z jej założeniami kolektywistycznymi, jak naprz. stosunek gospodarza zbiorowego do najemników obsługujących kooperację i t. p., to jednak droga do rozstrzygnięcia kwestji tych w myśl założeń zasadniczych już się zarysowuje; a zresztą przy ocenie sprzeczności tych nie należy stawać na bezwzględnym gruncie absolutu, lecz raczej traktować sprawę bardziej życiowo, względnie.

Wszystkie te niekonsekwencje, przemijające zresztą, błędną wobec doniosłości tych celów, do których planowo i konsekwentnie zmierza społeczny ruch kooperacyjny. zakładając podwaliny, że tak powiem, nowego państwa w państwie; poszczególne zaś kooperacje są niejako zarodkiem, pierwszymi komórkami przyszłego kolektywistycznego ustroju społecznego; łącząc pojedynczych członków społeczeństwa, zmuszają one zarodek ten do rozwijania coraz większej i gęstszej sieci korzonków, rozkładających te warstwy społeczne, które się różniczkowały historycznie i nadają dziś ton polityce ekonomicznej i socjalnej.

Kooperacje nasze są jeszcze dotychczas w stanie fermentu; brak czynnych energicznych pracowników idejowych na tym polu oraz naturalna forma gospodarki wsi naszej, słabo ogarniętej przez kapitalizm i jego apercpcje (a jest to jeden z czynników kapitałnych rozwoju uzdolnienia kooperacyjnego), — utrudnia opanowanie przez ogół wiejski teorii i praktyki spółdzielczej, rozkwitającej tak bujnie zagranicą. Nasz przewodnik kooperacji, — to w większości wypadków ziemianin-obszarnik, mało świadomy celów społecznych kooperacji; traktuje on swą działalność kooperacyjną, jako filantropijkę, łaskę pańską, przez co, — rzecz prosta, — zabija twórczość zrzeszonego ogółu. Ogół

członków kooperacji zbyt wierzy w zasoby intelektualne i materialne „obywatela“ i umywa ręce od prowadzenia interesu. W rezultacie prowadzi interes jeden płatny dygnitarz, nadużywający zaufania, jakim go obdarzono: interes daje deficyt, filantrop-ziemianin pokrywa go z własnej kieszeni, a ogół członków podziwia dobroć „obywatelską“.

Wytwarza się, że tak powiem, system adoracji wzajemnej, redukujący do minimum wymagania ogółu w stosunku do swych przewodników i odwrotnie. I kto lepszy przewodnik, — czy „obywatel“, ziemianin-filantrop, czy ksiądz-litwomian, który piastuje urzędy kooperacyjne jedynie w tym celu, aby sprawy rozwoju kooperacji, rozciągającej ewentualnie wpływy polskie wśród ludności mieszanej, trzymać w szachu i przy pierwszej sposobności kooperacji łeb skrócić, — trudno orzec. W każdym jednak razie „obywatel“-filantrop na szczęście kooperacji schodzi już z areny dziejowej, ksiądz zaś litwomian, ze względu na apolityczność kooperacji i pewne jej cechy internacjonalne, z niej się usuwa dla braku gruntu dla swych celów ubocznych.

Wysuwa się natomiast na czoło inny kontyngens pracowników, rekrutujących się bądź z młodszej inteligencji, która przeszła demokratyczną szkołę życia i, jako taka, odczuwa silniej puls życia społecznego, bądź też z samych włóścian i drobnej szlachty, — pod względem moralnym ludzi, co prawda, dość przeciętnych, lecz imponujących materialistycznemu ogółowi obrotnością, sprawnością osobistą przy organizacji przedsiębiorstw własnych. Ci ostatni są w kooperacji, w jej stadium obecnem bardzo użytecznymi i wchodzi zawsze *in medias res* potrzeb żywotnych. Mówiąc o kooperacji, mam tu na myśli kooperacje wiejskie Litwy i Białejrusi, bo miasta posiadają cały szereg innych sposobów organizacji ekonomicznej, niezbędnej dla ich rozwoju kulturalnego. Rozkwit kulturalny miast naszych, rozwijających się kosztem wsi, wpłynął, zdaniem mojem, bardzo ujemnie na całą gospodarkę społeczną Litwy i Białejrusi. Podczas gdy szereg miast naszych zdąża w pochodzie cywilizacyjnym za kulturą zachodnio-

chwila

HELENA *Zatem?*

WIKTOR *(coraz bardziej traci grunt pod nogami)* Przyjechałem do Paryża, aby się kształcić... Moja rodzina mieszka w Warszawie.

HELENA *(zimno)* Moja także. Ale to mnie nie objaśnia, czemu zawdzięczam...

WIKTOR *(j. w.)* Ponieważ... Przepraszam, że ja nie odrazu... Bo ja właściwie... *(zapada milczenie)*,

HELENA *(nad wyraz grzecznie)* Pragnęłabym się dowiedzieć...

WIKTOR. Ja właściwie poto... żeby... Przepraszam, że tak... *(wstał)* Przecież pani mnie zna z widzenia? *(usiadł. Helena wykonywa nieokreślony ruch)* Postąpiłem... nieroztropnie, wbrew przyzwyczajeni... nie powinienem był tak wchodzić, sam.

HELENA *(wstaje)*.

WIKTOR *(wstaje również)* ...ale...

HELENA. Ale?

WIKTOR *(w przerażeniu)* Chciałem poznać panią — a innego sposobu nie było. *(głosem omdlewającym)* Po to — jedynie — przyszedłem.

(chwila milczenia)

HELENA *(sztywno)* Ach, tak — po to. Dostyc bezceremonialnie *(oblewa Wiktora spojrzeniem, jak wodą z pręblem)* Więc pan skończył?

WIKTOR *(stoi zmiażdżony, w oczach kręca mu się tży rozpacz)*

HELENA *(po małej chwili, z ledwie widocznym uśmiechem, od którego nie zdołała się powstrzymać)*: Czy pan jeszcze sobie czego życzy? Przecież mnie pan poznał.

Skamieniały WIKTOR milczy, jakby ogluchł *(W jego ładnych oczach maluje się bolesny wyrzut i dziecięce niemal zadąsanie)*.

(D. c. n.)

europęjską, wieś litewska i białoruska leży odłogiem; ekonomiczne siły krajowe drzemią; brak ludzi do rozwijania sił tych i tworzenia kultury. Niezależnie od tego masa ludności wiejskiej, silnej, zdrowej i energicznej, nie ma możliwości zlokalizowania pracy swej na wsi i szuka ujścia bądź w miastach, bądź zagranicą i Ameryce, — również dla braku rozwoju ekonomicznych sił krajowych.

To też krzewicielem przyszłej kultury krajowej na Litwie i Białejrusi — będzie nie dogorywający obszar, nie ksiądz, doktor, adwokat lub uczonec, lecz przedstawiciel drobnej własności ziemskiej, rolnik, członek zrzeszonych szeregów spółki, rozwijający dalej teorię i praktykę kooperacji na swoich śmieciach. Bo tylko kooperacja rolna jest źródłem tej siły niewyczerpanej, która w stanie podnieść nasze rolnictwo krajowe do wysokich zadań agronomji społecznej. Nasze stowarzyszenia spożywcze już w chwili obecnej walczą skutecznie ze wzrastającą ustawicznie drożyzną środków spożywczych, towarzystwa zaś pożyczkowo-oszczędnościowe, dążąc do obniżenia stopy procentowej w kraju, ułatwią w niedalekiej przyszłości tani kredyt, — tę jedyną rękojmię wszelkich meljoracji rolnych. Kredyt ten, aczkolwiek udzielany małymi kwotami na potrzeby kulturalne drobnej produkcji rolnej, będzie zupełnie wystarczający dla kulturalnego obsługiwania gospodarstwa drobnego, w tym ostatniem bowiem kapitał ziemny (terminologia Marksa) redukuje się do minimum dzięki pracy osobistej przedstawiciela drobnej własności ziemskiej oraz członków jego rodziny. Wszelka intensyfikacja w gospodarstwie włościańskim, — czy to stosowanie nawozów sztucznych, czy też karmienie racjonalne krów, — jest zazwyczaj zupełnie w miejscu i w porę, bo ją stosuje ten, kto sam przykłada rękę do pracy, kółka zaś rolnicze dostarczają niezbędnych wiadomości agronomicznych tak, jak ich dostarczają zagranicą. Już w chwili obecnej daje się dostrzec duży postęp w dziedzinie drobnej produkcji rolnej na Litwie i Białejrusi. Ugory są w wielu wypadkach obsiane w znacznej części łubinem, seradela i koniczyzną, koń zaś i krowa włościańskie są w wielu miejscach duże i wyglądają wcale pokaźnie.

Słowem — gospodarstwo włościańskie w ciągu ostatnich lat kilku podległo niewątpliwie ewolucji dodatniej. Obszar ziem włościańskich rozszerza się z zadziwiającą szybkością kosztem ziemi dworskiej, to też śmiało twierdzić możemy, że Litwa i Białorus są krajem drobnej własności ziemskiej; ta zaś stwarza sama przez się warunki obiektywne dla rozwoju kooperacji i nadaje dążnościom ekonomicznym jednostek zrzeszonych jednolity charakter socjalny. Dodać należy, że rozwój drobnej produkcji rolnej i ułatwiona podaż poszczególnych towarów przez spółki spożywcze, rozwijają potrzeby kulturalne wśród ludności i stwarzają, względnie rozszerzają miejscowy rynek zbytu, który, łącznie z kapitałami towarzystw pożyczkowo-oszczędnościowych, określa rozwój i powodzenie kooperatyw wytwórczych.

To też u nas na Litwie i Białejrusi spółki wytwórcze mają dużo szansów dla rozwoju, w szczególności zaś dzięki temu, że indywidualny kapitał wytwórczy nie zdobył dotychczas poważnego wpływu (i prawdopodobnie go nigdy nie zdobędzie) na naszą gospodarkę społeczną. Brak [zatem konkurencji ze strony indywidualnych przedsiębiorstw wytwórczych lub też przetwórczych, opartych na większej koncentracji kapitału, otwiera szerokie pole dla tego typu kooperacji w formie

kapitału zrzeszonego. I kraj nasz ominie zapewne w pochodzie cywilizacyjnym fazę rozwoju prywatno-kapitalistycznego krajów zachodnio-europejskich, i przejdzie natomiast przez fazę rozwoju zrzeszono-kapitalistycznego.

Zenon Kuncewicz.

(Przyp. Redakcji). Drukując in extenso niniejszy nadesłany nam, nader ciekawy artykuł p. Zenona Kuncewicza, stanowiący uzupełnienie artykułu tegoż autora, drukowanego w № 14 pisma naszego, pragniemy jeno się zastrzec co do pewnego wyrażenia, użytego tu przez p. Kuncewicza. Mówiąc mianowicie o przewodztwie w naszych kooperacjach wiejskich ziemian lub księży, nazywa on księży-litwinów „litwomani“.

Nie pragniemy tu wypowiadać się *in merito* co do udziału księży i w szczególności księży-litwinów w ruchu kooperacyjnym, nie pragniemy też bynajmniej podejmować się roli rzeczników społecznego przewodztwa księży, bo oczywiście już z samych naszych ogólnych założeń demokratycznych odrzucić musimy i z całą świadomością odrzucamy wszelką zasadę patronatu i przewodztwa w rozwoju społecznym; solidaryzujemy się więc najzupełniej z autorem artykułu, gdy mówi on o szkodliwym i demoralizującym wpływie takich „kierowniów“, którzy wnoszą do ruchu społecznego swe uboczne tendencje i aspiracje osobiste, stanowe i t. d., i gdy powiada on, że rozwój społeczny musi być dziełem bezpośredniem tych, których potrzeby wyraża, to znaczy w tym wypadku dziełem samejże drobnej własności.

Chodzi tu nam o coś innego, — mianowicie o sam wyraz „litwomani“, jako pewien termin określony. Musimy zaprotestować przeciwko terminowi takiemu, jako nieprawdziwemu, ubliżającemu i krzywdzącemu. Termin „litwomani“ ukuty został w kuźnicy nienawiści do ruchu litewskiego wogóle, który my, jako ruch demokratyczny i kulturalny, uznajemy za pożyteczny. Wyraz ten, jako skierowany ogólnikowo do ruchu litewskiego, został u nas przez prasę demokratyczną i postępową z terminologii wyrugowany i wskrzeszony być nie powinien. Odróżniając nacjonalizm od demokratycznej sprawy narodowościowej, nie należy wszakże używać terminów takich, jak powyższy, które pod pozorem pogardy i oceny ujemnej nacjonalizmu przemycają podstępnie pojęcie wręcz zdaniem naszym fałszywe, jakoby ruch narodowościowy litewski był wyrazem zboczenia, — „manji“.

Skądinąd sądzymy też, że nawet ostry nacjonalizm litewski ma swe podstawy społeczne głębsze, które, nawet przy uznaniu ich za ujemne, manjactwem wytłómaczone być nie mogą. Co zaś do udziału kleru w ruchu społecznym u nas i dążenia jego do opanowania rozwoju i do przewodztwa, to takowe wydają się nam też głębsze, niż dyktowane li tylko aspiracjami narodowościowymi, czy to u księży-litwinów czy polaków.

Listy z Galicji.

Lwów, d. 18 maja 1912 r.

Galicja, w dobie obecnej, jest widownią gwałtownych walk stronnictw politycznych, które odbijają się głośnie echem w innych dzielnicach. Walki te nie zawsze są należycie rozumia-

ne, nietylko poza Galicją, ale nawet i w niej samej. Demagogja niektórych stronnictw robi wszystko co może, aby zaciemnić istotny stan rzeczy.

Pierwszą moją korespondencję poświęcić muszę z konieczności charakterystyce stronnictw polskich w Galicji, gdyż bez tego trudno byłoby czytelnikom „Przeglądu Wileńskiego“ orjentować się w obecnej sytuacji polityczno-społecznej naszego kraju.

Galicja w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu znacznie się zdemokratyzowała: rozwój konstytucjonalizmu austriackiego, oraz autonomji krajowej stworzył ramy, w których społeczeństwo może swobodnie pracować na różnych polach działalności; postępujące wciąż naprzód szkolnictwo zrobiło swoje, podnosząc znacznie poziom umysłowy mas na wsi i w mieście; parcelacja osłabiła pozycję wielkich właścicieli ziemskich, a emigracja zarobkowa dała włościanom, a raczej pewnej ich części dość znaczne środki materialne.

Ruch umysłowy w Galicji rozwinął się także w czasach ostatnich silnie i to w kierunku postępowym, demokratycznym, a nawet radykalnym, wyprzedzając naogół znacznie istniejące stosunki obiektywne.

Pod względem narodowościowym sytuacja obecnie zmieniła się znacznie w porównaniu z tem, co było przed laty kilkunastu. Narodowy ruch rusiński różnych odcieni wzrósł i pogłębił się. Śród żydów sjonizm znalazł grunt przyjazny, wszystko to zaostrzyło antagonizmy narodowościowe w Galicji. Na tle tych wszystkich przeobrażeń powstały też poważne zmiany w łonie poszczególnych stronnictw, oraz we wzajemnych ich stosunkach pomiędzy sobą.

Stronnictwa konserwatywne znacznie osłabły. Stańcy (konserwatyści zachodnio-galicijscy) odznaczali się zawsze większym rozumem politycznym od swoich kolegów podolaków (konserwatystów wschodnio-galicijskich).

Widząc, że Galicja się demokratyzuje, że ruch ludowy i socjalistyczny wzrósł znacznie, zrozumieli oni, że sami nadal nie mogą już rządzić niepodzielnie krajem, dlatego też postanowili wejść w pewien kontakt z ludowcami i demokracją polską, celem utworzenia większości w Sejmie i w Kole Polskiem.

Konserwatyści zachodnio-galicijscy gotowi są do pewnych ustępstw w stosunku do swoich sojuszników w duchu demokratycznym. W kwestji ruskiej skłonni są także do umiarkowanych koncesji w sprawie reformy wyborczej i uniwersyteckiej. Ustępstwa te jednak są nieznaczne i do pewnego stopnia wymuszone przez okoliczności i rząd krajowy.

Przed laty, stańcy mieli dużo bardzo wybitnych osobistości, które wycisnęły swoje piętno w różnych dziedzinach życia publicznego. Obecnie z grona tego pozostało nie wiele osób; młodsza generacja naogół stoi znacznie niżej niż starsza, zarówno pod względem zdolności politycznych, talentów jak i pod względem wykształcenia.

Namiestnik Bobrzyński i minister Biliński są ostatnimi politykami wielkiej miary tego obozu, politykami z dużą inicjatywą, z szerokimi planami idącymi dalej znacznie od tego stronnictwa. Można podzielać ich poglądy albo je zwalczać, niepodobna jednak odmówić im dużych przymiotów. Z młodszej generacji najwybitniejszym jest prof. Władysław Leopold Jaworski. Jest to polityk giętki, nie ma jednak on tej jasności i ścisłości

umysłowej co tamci, ani ich zmysłu orientacyjnego, śmiałości i talentu. Inni młodzi stańcy jak poseł Hupka, młody Tarnowski i inni stoją od niego znacznie niżej.

Podolacy składają się z najgorszego rodzaju zacofańców, którzy są przeciwnikami wszelkich reform demokratycznych i ustępstw wobec rusinów. Konserwatyzm swój krańcowy maskują oni frazesami nacjonalistycznymi oraz niechęcią do biurokracji, która wypływa z tego, że uważają ją za czynnik w Austrii nieco demokratyczny. Istotnie biurokracja wiedeńska jest niezawodnie postępowszą znacznie od konserwatystów wschodnio-galicijskich.

Przywódcą podolaków są eks-namiestnik Piniński, największy wstecznik z nich wszystkich, Dawid Abrahamowicz były minister, poseł Laskowski i inni.

W czasach ostatnich, od ogółu podolaków wyodrębniła się grupa posłów, do których przyłączyło się kilka jednostek z innych obozów, i z żywiołów tych powstał t. zw. klub środka. Nowe to „stronnictwo“ różni się tem tylko od innych podolaków, że jedynym jego celem jest obalenie namiestnika Bobrzyńskiego, któremu zarzucają jakoby zbyt dużą ustępliwość wobec rusinów, oraz popieranie tak zwanego bloku złożonego z zachodnio-galicijskich konserwatystów, demokratów polskich i ludowców.

Klub środka niema absolutnie żadnego programu politycznego. Na jego czele stoi formalnie ks. Witold Czartoryski, rządzi nim jednak faktycznie prof. Starzyński, poseł Cieński, Kozłowski i Milewski dyr. banku Krajowego oraz profesor uniwersytetu.

Klub środka znajduje się w stałym kontakcie z narodową demokracją.

Ogół podolaków nie idzie tak daleko w opozycji przeciwko blokowi i namiestnikowi jak klub środka, ma z nim jednak niezawodnie wiele cech wspólnych.

Klub środka składa się z samych malkontentów, którzy zostali zawiedzeni w swoich nadziejach osobistych.

Narodowych demokratów nie potrzebuję tu obszernie charakteryzować, gdyż są oni dość znani naszemu ogółowi. Na gruncie galicyjskim szybko wzrosli, ale jeszcze prędzej zaczęli bankrutować politycznie. Opierają się oni przeważnie na urzędnikach, są skrajnymi nacjonalistami i sprzeciwiają się wszelkim ustępstwom na rzecz rusinów. Domagają się równorzędnego traktowania ich z tak zwanymi moskalofilami. Demokratyzm wszechpolaków w Galicji jest iluzoryczny jak i w Królestwie. W praktyce tamują oni wszelkie reformy demokratyczne, pod pozorem obrony „narodowego stanu posiadania“.

Ostatnie wybory do parlamentu były klęską dla nich. Niepowodzenie to oraz wstrętne taktyka w walce z przeciwnikami politycznymi spowodowały obecnie zupełny rozstrój w tem stronnictwie: poseł tarnowski Tertil, prof. Zakrzewski i jeszcze kilka osób wystąpiło ze stronnictwa. Wodzem jego niepodzielnym jest prof. Grabski, demagog nacjonalistyczny i intrygant. Eks-minister Głabiński jest tylko reprezentantem stronnictwa od parady.

Narodowi demokraci nie mają żadnej wyraźnej koncepcji politycznej, żadnej szerszej myśli. Cała ich działalność ogranicza się tylko do werbowania nowych członków, do walki o zdobywanie pozycji wyższych, do zaostrażania antagonizmów

narodowościowych. Opinia publiczna obecnie coraz wyraźniej zaczyna się zwracać przeciwko nim.

Demokracja polska składa się z przedstawicieli dawnej demokracji galicyjskiej, ze sfer przemysłowo-handlowych, z drobnomieszczańskich żywiołów w Galicji Zachodniej i z grupy inteligencji. W obecnej swojej formacji jest to stronnictwo nowe, które się dopiero kształtuje. Niezawodnie ma ono przed sobą przyszłość. Jest demokratyczniejsze od wszechpolaków i uczciwsze o wiele. Słabą jego stroną jest brak ściśle określonego programu demokratycznego, oraz uległość pewna wobec wszechpolskiej frazeologii w stosunku do rusinów. Demokracja polska gotowa jest do pewnych ustępstw wobec rusinów, ale wzamian za nie chciałaby zyskać od nich gwarancje na przyszłość, jakich żaden naród dać nie może. Pod naciskiem okoliczności demokraci nieraz ustąpią rusinom, ale będą zarazem podtrzymywać frazeologię nacjonalistyczną.

Demokracja polska usiłuje uprzemysłowić Galicję i podnieść ją wogóle ekonomicznie. Na czele demokracji polskiej stoją prezes koła dr. Leo, wice-prezydent Lwowa Rutowski, poseł German i redaktor „Gazety Wieczornej“ Battaglia.

Należałoby życzyć sobie, aby demokracja polska opracowała szeroki program reform, aby pogłębiła swoją ideologię demokratyczną i wyzwoliła się z resztek frazeologii nacjonalistycznej.

Stronnictwo ludowe jest obecnie najsilniejszym w kraju, masy chłopskie w Galicji Zachodniej stoją przy nim silnie. Do niedawna jeszcze prześladowane przez rząd (za Pinińskiego) i wyklinate, jest ono obecnie nader wpływowym czynnikiem politycznym w Kole i Sejmie. To jego poważne stanowisko jest powodem nienawiści i zazdrości ze strony narodowych demokratów, którzy wszelkimi sposobami starali się zgubić posła Stapińskiego wodza ludowców, rozsiewając o nim i jego stronnictwie najfałszywsze wieści.

Polityka Stapińskiego była nieraz przedmiotem licznych ataków ze strony jego przeciwników. Zarzucano mu blok z konserwatystami i rządem, oraz kapitulację przed nimi.

Można krytykować ten albo inny krok polityczny wodza ludowców, można żałować, że przy zawarciu kompromisu z konserwatystami nie wymógł na nich poważnych ustępstw w sprawie reformy wyborczej do Sejmu. Nie podobna jednak twierdzić, żeby polityka jego nie przyniosła znacznych korzyści włościanom i stronnictwu ludowemu. Już sam ten fakt, że ludowcy mają obecnie zupełną swobodę ruchów, że właściwie faktycznie korzystają z praw jakie daje konstytucja — ma ogromne znaczenie. Od lat czterech włościanie galicyjscy (zwłaszcza w zachodniej części kraju) mogą się swobodnie organizować, zbierać, omawiać swoje sprawy, a pismo ich bez przeszkód, szeroko się rozchodzi. Teoretycznie mieli oni do tego prawo i dawniej, faktycznie jednak władze na każdym kraku stawiały im wielkie przeszkody. Obecnie lud się przyzwyczaja do wolności, która wejdzie mu w krew i stanie się częścią składową jego obyczajów.

Z drugiej strony stronnictwo ludowe, wywierające znaczny wpływ na sfery rządowe, w Sejmie i Kole, ma możność bronienia interesów włościan. Prawda, że interesy te czasami pojmowane są zbyt ciasno, zbyt stanowczo; jest to wynikiem przeszłych i obecnych stosunków socjalno-kultu-

ralnych, wśród których żyje lud; z czasem i pod tym względem wiele się zmieni. Masowy ruch ludowy rozwinął się w czasach ostatnich w Galicji tak szybko, że dziś wprost brak jest sił inteligentnych, któreby w dostatecznej mierze mogły spóldzielać mu, pogłębiając go idejowo i kulturalnie.

Zresztą ludowcy naogół i dziś prowadzą dawną swoją politykę, i przyczyniają się do demokracji społecznej i instytucji politycznych. Sojusz ludowców z konserwatystami ma swoje źródło: po części w sprawach ekonomicznych (solidarność interesów zamożnych włościan i wielkich właścicieli); po części zaś w tem, że zachłanność narodowych demokratów pchnęła Stapińskiego i innych do tego bloku.

W państwach ściśle konstytucyjnych, sojusze z rządem dla stronnictw demokratycznych nie są czynami nagannymi. Tylko anarchiści nie uznają państwa, a więc i rządów, inne stronnictwa zajmują w tym względzie stanowisko odrębne. Nawet socjaliści, tam gdzie już tworzą poważną siłę, coraz bardziej liczyć się muszą z koniecznościami państwowymi. W Galicji istnienie tak zwanego bloku, na którym opiera się rząd, jest objawem naturalnym, wskazującym na to, że w kraju tym parlamentaryzm istotnie się rozwinął.

Śród nieznacznej części ludowców, przeważnie skupiających się koło „Kurjera Lwowskiego“ powstała opozycja w stosunku do Stapińskiego, która wytworzyła tak zwaną „frondę ludową“, stanowiącą zawiązek stronnictwa.

Grupka ta prowadzi nader dziwną, a właściwie śmieszna politykę: z jednej strony występuje przeciwko stronnictwu ludowemu, a zwłaszcza Stapińskiemu za to, iż jest w bloku, do którego należą konserwatyści krakowscy; z drugiej zaś prawie we wszystkich sprawach polityki bieżącej spóldziela z klubem centrum i narodową demokracją, a więc z żywiołami najbardziej wstecznymi. „Fronda“ ludowa nie ma żadnego określonego programu. Pod względem narodowościowym jest szowinistyczną i zwalcza myśl o ustępstwach wobec rusinów. Natomiast dużo pisze i rozprawia o niepodległości Polski w sposób wysoce naiwny i bałamutny. „Fronda“ ludowa jest szkodliwa dla tego, że działa jak narodowa demokracja demagogicznie. „Kurjer Lwowski“ zamieszcza artykuły bardzo ostre o polityce, nie zawierające jednak poważnej argumentacji, lecz przepelnione frazeologią uczuciową.

O polskim stronnictwie postępowem i partji robotniczej napiszę w jednym z listów następnych.

Tak więc w Galicji obecnie stoją przeciwko sobie dwa bloki. Kwestja ruska jest osią, dokoła której wszystko się obraca.

Namiestnik Bobrzyński, w którego rękach spoczywa ster polityki, choć konserwatysta, rządzi w sposób naogół liberalny. Swobody obywatelskie są za jego rządów o wiele ściślej przestrzegane, niż dawniej. Ludność korzysta faktycznie z takiej wolności zgromadzeń i manifestacji, jaką rzadko spotkać można w Europie Zachodniej. Oczywiście zachodzą czasami wypadki nadzwyczajne, przy których trafiają się pewne zajścia z publicznością, kończące się tragicznie, naprz. podczas wyborów w Drohobyczu. Na szczęście są one nader rzadkie i nie wpływają bynajmniej z systemu rządów d-ra Bobrzyńskiego. W sprawie narodowościowej obecny namiestnik zajmuje stanowisko pojednawcze i bardzo rozumne, które-

go niestety nie doceniają, w znacznym stopniu ani polacy, ani rusini.

Narodowi demokraci i związane z nimi grupy wszechli obecna w kraju agitację przeciwko założeniu uniwersytetu rusińskiego we Lwowie. Przy tej sposobności rozbudzają wogóle namiętności i usiłują wywołać w kraju zamieszanie, celem

utrudnienia stanowiska dr. Bobrzyńskiemu, którego nienawidzą za jego rozumną politykę wobec rusinów, oraz za to, że ich nie popiera. Upadek obecnego namiestnika byłby tylko tryumfem reakcji.

Ludwik Kulczycki.

BOLESŁAW PRUS.

(1847 — 1912).

Odszedł człowiek czysty, jak kryształ, gorący patryjota polski, pisarz wielkiego talentu.

Nie pięknym frazesem, ani tęczowemi barwami mirażów stylowych karmił Prus przez lat czterdzieści swoje społeczeństwo, które kochał z całej duszy miłością mądrą, świadomą jego wad i błędów; jędrną, zdrową nauką społeczną tchnęły utwory jego.

Wychowany w atmosferze hasel pozytywizmu, na realnym gruncie materialnego i umysłowego rozwoju pragnął oprzeć dobrobyt swego społeczeństwa i do tego niestrudzenie nawoływał.

Ale prócz pozytywisty, prócz matematyka i przyrodnika tkwił w nim rzewny romantyzm, ten tyle razy kwestjonowany w swej wartości romantyzm polski o giescie bezcelowo pięknym i nieutilitarnie szlachetnym.

To też, po przez przykazania jego i nawoływania do zaspakajania potrzeb narodowych realnej natury, po przez obliczenia i cyfry, czerpane z wszechświatowej publicystyki dla poparcia swych dowodzeń, po przez rozumowania trzeźwe, logiczne — podawane w kronikach w formie pedagogicznej niemal, w całym ogromnym dorobku publicystycznym Prusa niema obojętności ani chłodu, ani suchego doktrynerstwa. Zawsze i wszędzie przemawia do nas szczerze, dobre, życzliwe serce przyjaciela.

Nikomuz z czytających nie wydawał się Prus obcym, a owszem bliskim, tak serdecznie związanym myślą i uczuciem z każdym, kto myśleć i czuć potrafi, że mimowoli myśl i pragnienie zwracały się ku niemu pytająco, co nam zdoła wytłumaczyć, do czego zachęcić, od czego uchronić? Duch jego nie przebywał w mglistych sferach abstrakcji, bo nawet filozoficzne dysertacje, rozsiane tu i owdzie w powieściach mają celowo podkład realny i zadanie społeczne; ludzie, których tworzył, nie byli doktrynerami lub fonografami osobowości autora — nie, to byli żywi, spotykani ludzie, nie ideały, ale w ideały wierzący, trzeźwi, realni ludzie, którym jednak dym marzeń zakłócał porządek myślenia, porywał serca w niebiosy lub na strzepy je szarpał, ludzie pełni energii rzutkości życiowej, a niebezpieczni przez swą zdolność zginięcia dla kwiatu, gwiazdy, słowa.

Takim jest np. Wokulski z „Lalki“ — świetna w swej prawdziwej syntetycznej duszy „trzeźwego“ polaka; prawie bohater, prawie milioner, w innym kraju napewno minister, potyka się na śmierć o jedno malutkie, kamienne, dystyngowane serduszko hrabianki; marząc o niem najszałeniej i najboleśniej, rzuca jej pod stopy całą swą wartość moralną, cały dorobek człowieczeństwa i ginie dla marzenia, by ono śnać nie szczeło mu w oczach.

Ten sam pierwiastek uczuciowy, rozrzucający w swej niepraktycznej naiwności jest cechą bohaterki „Emancypantek“ Madzi. Nie owe *vierges fortes* traktuje Prus z miłością, przeciwnie, wykazuje nam nawet, że im ich *esprit fort* nie na wiele się przyda, natomiast niemądre kochanie Madzi, dziewczątka wibrującego za każdym brutalnym szarpnięciem losu i niepraktycznie na nie reagującego — ono właśnie ma sympatję autora.

I w „Placówce“, która ze względu na tendencję, należy do najbardziej popularnych utworów Prusa — przebija ten sam, chociaż rzucony na tło społeczne, słowiański sentyment, co nie przeszkodziło jednak autorowi odmalować chłopów, jakich nie było jeszcze przed nim w literaturze, a jakich wykuł później w śpiżu — Reymont. Nikt przed Prusem tak głęboko nie zajrzał do duszy chłopskiej, jak on to uczynił w „Placówce“. Olsniewa ona całym szeregiem scen świetnych w rysunku, nieporównanych w plastyce.

Owiewa zaś „Placówkę“ przedewszystkiem serdeczny humor Prusa, najlepszy, najweselszy humor, jaki dostrzec można we współczesnej literaturze polskiej. On jeden umiał się pysznie, pogodnie śmiać bez ironji, która się kryła w sytuacji, nie w śmiechu z niej; umiał on ukazywać nam śmiech bez zgrzytu i łzy bez przekleństwa.

Bo wesołość jego była szczerą, pragnął jej, jako koniecznej części społecznego zdrowia — a smutek jego był serdeczny, bo czuł też, że łzy nie koniecznie mają być jadem zaprawne, by głęboko wrzasać.

I dlatego w „Powracającej fali“, w „Anielce“, w „Duszach w niewoli“ — dramatyczność sytuacji i konflikty uczuć głęboko wstrząsają, wzruszają do dna duszy, ale wśród głębin rozpaczki woła na nas dobre słowo autora, dźwiga nas, jakby dłoń jego silna i przyjazna, ukazująca epizodyczne postacie lub rzucając myśl krzepiącą, bo miłością tchnącą.

I w tej Prusa humanitarnej bezstronności względem ludzi tkwi artyzm przedstawiania typów najróżnorodniejszych: księdza w „Placówce“, Szlangbauma i Suzina w „Lalce“ i nieskończoną galerję pysznych warszawskich typów w nowelach, zaczawszy od rozkosznie wesołych, mimo dziury w butach, studentów — do lichwiarzy, od różnej biedoty podwórkowej — do chłopskiego kołtuństwa we wsi polskiej.

Podkładem wszystkich utworów Prusa jest głęboki zmysł społeczny, przybiera on czasem pod względem formy cechy zbyt publicystyczne, sprawia, że utwór artystyczny nie jest jednolity, że nagromadzenie drugoplanowych figur zbyt gmatwa akcję.

Błędów tych ustrzegł się Prus w „Faraonie“, który jest utworem jednolitym o koncepcji artystycznej, bardziej ściśle. Tendencje społeczne autora, wypowiedziane przez usta historii, a w epoce dalekiej od naszej, musiały nabrać zwięzłości, zaś akcja nie uległa przeludnieniu. Natomiast straciła na żywości.

Późniejsze utwory Prusa, jako to „Dzieci“ i zaczęte „Przemiany“ są utworami więcej publicystycznymi, niż artystycznymi; mówią one to, co Prus od tylu lat powtarzał społeczeństwu swemu, służąc mu wiernie — a służąc istotnie, bo ciężka i niewdzięczna materialnie praca dała mu zaledwie na starość trochę swobody i spokoju, z których zresztą nie korzystał dla siebie...

* * *

Życiorys Aleksandra Głowackiego jest szeregiem dat jego niestrudzonej, wytrwałej, jednolitej, jednostajnej pracy. Siedemnastoletni młodzieniec, urodzony w Lubelskiem, wychowany w szkołach w Lublinie, u wstępu do życia z bronią w ręku uczestniczył w tragedji narodu. W roku 1866 Szkoła Główna przyjmuje go na wydział fizyko-matematyczny. W 1872 „Niwa“ drukuje jego rozprawę o elektryczności, „Opiekun Domowy“ помещa feljetony zatytułowane „Listy z starego obozu“. Z feljetonu w „Kłopotach Babuni“ i w „To i owo“ przechodzi Prus do humoreski. „Kroniki tygodniowe“ w jednym z pism codziennych i „Kroniki miesięczne“ w Ateneum stawiają go na czele pracy publicystycznej w Warszawie. W 1882 roku bez powodzenia obejmuje redakcję „Nowin“, które miały być „obserwatorium spostrzeżeń nad życiem społecznym“. Pierwszą większą powieścią był

„Pałac i Rudera“ w roku 1876, po której w długim szeregu następują liczne nowele. Okres rozkwitu twórczości zaczyna się w roku 1886 „Placówką“. W roku 1897 Warszawa obchodziła uroczystości 25-lecie pracy w plony bogatej.

Do ostatnich dni pióro Prusa nie wyczerpało ani przez chwilę, mimo, iż zdrowie i siły zaczynały słabnąć przedwcześnie. Kosa śmierci ścieła cicho kłosa pełny, który chlubnie i świetnie spełnił swoje życiowotwórcze przeznaczenie.

* * *

Na pierwszą wiadomość o zgonie wielkiego pisarza i obywatela wysłaliśmy telegram kondolencyjny pod adresem „Tygodnika Ilustrowanego“, którego zmarły był stałym aż do ostatniej chwili współpracownikiem.

* * *

Nasze pisma codzienne rzuciły myśl uczczenia pamięci Bolesława Prusa składaniem ofiar na cele, które Mu najbliższymi były. Ponieważ wiedzę Prus uważał zawsze za najważniejszą dźwignię postępu społecznego, sądzimy, że najwłaściwszą formą hołdu ze strony społeczeństwa polskiego na Litwie będzie gromadzenie funduszu na dokończenie budowy gmachu Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie, jako jedynej u nas odpowiedniej instytucji. Na cel powyższy redakcja „Przeglądu Wileńskiego“ przeznaczona 10 rubli i zwraca się do swych czytelników z propozycją poparcia tego zapoczątkowania.

Tragizm bezpartyjności.

(Fantazyjka w trzech odsłonach, może prawdziwa, a w każdym razie prawdopodobna).

AKT I.

(Scena przedstawia gabinet znanego działacza i wytrawnego polityka P. R. Po przeciwnej stronie biurka siedzi drugi, równie znany regimentarz narodu, p. N. D.).

Rozmawiają:

P. R. W głowę zachodzę, co robić, żeby ten nasz kurjer nie był tak rozpaczliwie nudny.

N. D. Ja też zachodzę w głowę.

P. R. Ilekroć wezmę go do ręki, po dwu minutach śpię, jak sekcja ekonomiczna w Tow. Roln. Jużem sobie dla rozrywki „Słowo“ zaprenumerował.

N. D. Przyznam się panu, że ja również szukam ratunku w Warszawie. Zaabonowałem „Głos“. Ot, w tym to się przynajmniej czuje życie.

P. R. Właśnie, właśnie. A w naszym kurjerze nic życia niema.

N. D. Sperminu dać tym redaktorom, czy co?

P. R. Trzeba znaleźć radę.

N. D. Koniecznie

(Biorą się pod rękę i wychodzą).

AKT II.

(Gabinet redaktora pisma lewicowo-prawicowego,

czyli nacjonalistyczno-antynacjonalistycznego i krajowo-wszechpolskiego).

P. R. i N. D. (razem). Panie redaktorze, trzeba koniecznie pismo prowadzić żywiej.

Redaktor. Istotnie, to by było bardzo pożądane. (Panowie P. R. i N. D. spoglądają na siebie, jak Miasojedow i Guczkow po przedziurawieniu nieba).

P. R. (p. ch.). Więc pan redaktor przyznaje, że kurjer jest... no... no... flaki z olejem,

Redaktor (rozkłada ręce). Co robić!..

N. D. Jakto, co robić? Pan jest właśnie od tego, żeby wiedział. Te wasze dardanelskie artykuły wstępne już nam kością w gardle stają.

P. R. Naturalnie. Co nam do Dardaneli?

N. D. Czyż niema spraw bliższych, żywotniejszych?

Redaktor. Naprzykład?

N. D. No choćby nasze stanowisko wobec tych bezpartyjnych postępowców rosyjskich...

P. R. (do N. D.). Nie, co to—to dajmy jeszcze pokój. Trzeba najpierw poznać szanse paździenikowców.

N. D. (patrząc na P. R. przez ramię). Ten liczy jeszcze na paździenikowców...

Redaktor (pokornie). Dobrze. Nie będziemy tego tykali.

P. R. Ale w ostatniej mowie księdza Maciejewicza było kilka ustępów, co do których trzeba się było zastrzec, a wyście ją tylko przedrukowali.

N. D. O, wybaczy pan, ale ja absolutnie piszę się na wszystko, co powiedział ks. Maciejewicz.

P. R. (spoglądając przez ramię na *N. D.*). Dziwne, bardzo dziwne.

Redaktor (ze smutkiem). I tego nie będziemy tykali.

N. D. Czemu jednak kurjer nie wystąpił jasno przeciw nowym uroszczeniom rusinów w Galicji?

P. R. Bardzo przepraszam. Owe uroszczenia „Czas“ traktuje nader pobłaźliwie.

N. D. (obrzucając *P. R.* wzrokiem, pełnym pogardy) Czas... Czas...

Redaktor (b. smutno). I tego nie będziemy tykali.

P. R. O obiedzie, który wydaliśmy na cześć odjeżdżającego dygnitarza...

N. D. (zaczerwieniony). Co?.. co?..

(Obaj panowie patrzą sobie w oczy, jak dwa rozgniewane indyki).

Redaktor (miłośnie). I tego nie będziemy tykali...

N. D. (zwracając się raptem do redaktora). A pan powtarzasz, jak katarynka: i tego nie będziemy tykali...

P. R. Trzeba pomyśleć, kochany panie. Trzeba pomyśleć.

Redaktor. Dobrze. Pomyślę.

(*P. R.* i *N. D.*, nie patrząc na siebie, wychodzą).

AKT III.

(Ta sama dekoracja).

Sekretarz. Panie redaktorze, co dziś damy na wstępny?

Redaktor (grzebiąc w koszu). I tego nie będziemy tykali... I tego nie będziemy tykali...

Sekretarz. Wcale niezły i aktualny artykuł przysłał *S. K.*

Redaktor (jak przebudzony). *S. K.*?.. Czy to krewny *P. R.*, czy *N. D.*? Nie wiesz pan?

Sekretarz (wzrusza ramionami).

Redaktor. Wal pan dla pewności na wolną trybunę.

Sekretarz. A wstępny?

Redaktor (zrywa się i woła z najwyższą rozpaczą). Nic., nic... tylko *Dardanele!*

(b.h.)

JÓZEF STANISŁAW WIERZBICKI.

Z księgi ciszy.

Dzwon—blask.

*Szczyt wieży, krzyża płomykiem owiany,
Nad wielkim borem gore w nieba toni
I leci stamtąd dzwonu głos przez lany...
A mnie się zdaje, że to blask tak dzwoni;*

*Że wypalając ślad swój skroś zagony,
Dźwięki to złotem kłosów się promienia,
To węzłem między wiją się zielonej,
To falą habrów, to maków czerwienią.*

* * *

Muzyka milczenia.

Drzewa szelestem rozmarzone wiecznym

Stały nad wody zielonym kryształem:

A mnie się zdało w milczeniu słonecznym,

Że jakąś dziwną muzykę słyszałem;

Że każde drzewo, każdy liść miał w toni

Rytm swój, co echem był rzeczy i cieniem,

A ich harmonja w sennej fal pogoni.

Choć niesłyszalna — wciąż grała — milczeniem.

TEATR LETNI.

W uwagach, któremi powitałem otwarcie sezonu letniego, dotknąłem mimochodem trudności, przeszkadzających porozumieniu się u nas widzów ze sceną.

Publiczność wileńska posiada ogromnie szeroką skalę wymagań: łoża, fotele, krzesła i galerja — to światy zupełnie odrębne, gusta całkowicie rozbieżne. Ścisłe dopasować do nich jedną instytucję — prawie niesposób. A jednak teatr na tym właśnie pstrym ogóle byt swój oprzeć musi; winien więc wyśrodkować kierunek działalności taki, by — nie sprzeniewierzając się zasadniczemu postulatowi sztuki — trafiał w kamerton i tłum, i smakoszków artystycznych.

Szkopuł ten spotyka się i w innych miastach, gdzie znaleziono nań sposób w odpowiednim rozkładzie repertuaru. Ale w Wilnie trudność jest bardziej, niż gdzieindziej, skomplikowana. Pomijając już większą rozbieżność upodobań i wyrobienia publiczności, każda poszczególna jej część nie jest dość liczna, by sama wypełnić widownię mogła bodaj raz jeden. Wyjątek stanowi szary tłum, odkryty dopiero ostatnimi czasy. Opieranie wszelako bytu instytucji wyłącznie na tej masie, pociągnęłoby za sobą radykalne obniżenie poziomu artystycznego repertuaru, a tem samem oddaliłoby zupełnie teatr od warstw kulturalnych, których mu z oczu tracić nie wolno.

Lecz właśnie owe warstwy kulturalne są u nas i nieliczne i w dodatku podzielone. Poczawszy od smakoszków do bardzo wybrednych (aż za wybrednych, grymaśnych poprostu) spotyka się rozmaite stopnie wyrobienia artystycznego, których szereg kończy absolutna w stosunku do sztuki naiwność.

Ponieważ najgłośniejszą, najsmielej wyraża swe opinie pierwsza kategoria widzów (owi wspomniani smakosze), więc otrzymuje się często wrażenie, jakoby ogół t. zw. „publiczności teatralnej“ miał gust bardzo wytrawny. Ilekroć wszakże dyrekcja z głosami temi próbuje się rachować, spotyka się z zupełnym brakiem poparcia kasowego.

W rezultacie przyjść musimy do wniosku, że prowadzenie teatru wileńskiego należy do zadań wyjątkowo trudnych; że na to, by funkcjonował on prawidłowo, potrzeba jeszcze czasu, w ciągu którego wyrobi się i uwydatni właściwe oblicze miejscowej publiczności.

Chcąc na coś oddziaływać skutecznie, trzeba ów obiekt znać i przemawiać doń zrozumiale. A publiczność wileńska, przy chaotyczności jej

gustów artystycznych — to wciąż jeszcze dotąd znak zapytania.

Pamiętając o tem, żądać należy od tutejszej inteligencji świadomego spóldziałania z zabiegami dyirekcji teatralnych. Krytycyzm wyłącznie subiektywny jest tu zgoła nie na miejscu; wysuwanie egoistycznych jedynie wymagań — przedwczesne.

Trzeba popierać teatr taki, jaki jest, a żądać, by był taki, jakim w istniejących warunkach być może. Skoro pragniemy instytucję tę utrwalić i dać jej podstawę stopniowego rozwoju — winniśmy być wyrozumiali i cierpliwi.

Jeśli dotąd publiczność tej właśnie wyrozumiałości i cierpliwości słabe daje dowody — to w znacznym stopniu rezultat niewłaściwego stanowiska prasy. Od samego początku traktowała ona teatr niepoważnie. Bezsensowne kadzidla walczyły tu o lepsze z ignorancją i intrygami zakulisowemi, co w końcu do tego doprowadziło, że czytelnik przestał zupełnie rachować się ze sprawozdaniami dziennikarskimi. Któż nie pamięta np. przesadnych pochwał, jakimi zasypywano każdą „kreację“ p. Młodziejowskiej? Daleki jestem od niedoceniaania wybitnych zasług pierwszej dyrektorki naszej sceny; nie myślę również przeczyć, iż w pewnych rolach była ona zupełnie na miejscu. Często jednak podejmowała się odtwarzania postaci całkiem obcych jej indywidualności. Mimo to, prasa nie ustawała w chwalebach, pchając artystkę coraz dalej w niewłaściwym kierunku, a z drugiej strony zmuszając w końcu samą publiczność do protestu. Jestem przekonany, że gdyby „fałszywe apetyty“ p. Młodziejowskiej zostały wczas przez recenzentów pomiarkowane, teatr wileński uniknąłby ciężkich przesileni.

Powtarzam: brak powagi w traktowaniu teatru przez prasę stanowi główny tej ostatniej grzech. Znałstwa wielkiego od recenzentów wileńskich nikt nie wymaga. Tam, gdzie jeden i ten sam człowiek musi spełniać rozmaite funkcje redakcyjne, specjalizacja jest niemożliwa. Ale możliwa jest skromna sumienność sprawozdawcza.

Tę przestrzegając, nie będziemy przedewszystkiem czynili bardzo ryzykownych, a skądinąd wysoce nawet szkodliwych, porównań między sceną wileńską, a warszawską lub krakowską. Zestawienia takie upoważniają publiczność do stawiania teatrowi naszemu zbyt daleko idących wymagań. A przecież nie można żądać od młodej, materialnie słabo popieranej instytucji, by spółzawodniczyła z instytucjami daleko starszemi i bogatszemi.

Reasumując, com powiedział wyżej, określe w ten sposób zasadniczą tendencję przyszłych sprawozdań teatralnych „Przeglądu Wileńskiego“: pragniemy, by krytycyzm bardziej wymagającej publiczności nie tracił z oczu warunków lokalnych, które chwilowo zmuszają nas do pewnej redukcji żądań; z drugiej strony chcemy, aby sfery, mające wyższą skalę potrzeb estetycznych, uważały teatr przedewszystkiem za instytucję kulturalną i odnosiły się doń życzliwie nawet wówczas, gdy nie tylko ich, ale również szerszych mas gusta uwzględniać będzie.

Słowem, uważamy za konieczne, by inteligencja polska odnosiła się do teatru nie tylko jako odbiorczyni, klientka, ale też jako współpracownica dyirekcji.

* * *

Dyrekcja obecna, p. Oranowskiego, uczyniła — jak było zaznaczone już w zeszłym tygodniu — bardzo poważny krok naprzód: zespół swój zaprezentowała nam w operach, które jeszcze w sezonie letnim r. 1911 można było wystawiać tylko w wyjątkowych okazjach, przy pomocy chwilowo goszczących artystów.

Obecnie siły operowe weszły już w skład trupy.

Jest ich dwie: pp. Kamińska-Latoszyńska i H. Orzelski.

„Halka“, wykonana przy ich udziale (w rolach: tytułowej i Jontka) tak była zagrana, że nawet słuchacz bardzo wymagający mógł mieć chwilę zupełnego zadowolenia. Momenty takie mnożyły się zwłaszcza od drugiego aktu, t. j. odkąd p. Latoszyńska znalazła się wobec godnego siebie partnera — p. Orzelskiego. Głos artystki silny, donośny, posiada elastyczność, pozwalającą mu wyrażać bardzo dużą skalę uczuć, począwszy od tklivosti, aż do wybuchów tragizmu. Wszelako w tych ostatnich artystka jest mocniejsza. Tu również i gra jej szczególnie celuje. P. Orzelski przeciwnie: sądząc przynajmniej z roli Jontka, głos jego ma brzmienie najmilsze w miękim, subtelnem *piano*, które zdolny jest cieniować nader misternie.

Jeśli dodam, że ta para artystów ukazała się na tle porządnie wyreżyserowanego zespołu; że pozostałe role opracowane były w większości sumienne; że balet sprawiał się żywo, a dekoracje, kostjumy, wogóle cała wystawa była bez zarzutu — stwierdzić musimy zupełny sukces dyirekcji.

Niczego więcej dziś wymagać nie możemy.

A jednak nie „Halka“, nie ów klejnot polskiej literatury muzycznej, nie ta opera tak starannie wystawiona ściągnęła do teatru publiczność. Znacznie atrakcyjniejszą okazała się „Cnotliwa Zuzanna“, operetka wprawdzie bardzo melodyjna, ale stojąca, bądź co bądź, na rubieży między teatrem a cyrkiem.

Choć grana była żywo, miejscami z dużym humorem, naogół wszakże wykonanie stało daleko niżej od wykonania „Halki“. Sama Zuzanna w interpretacji p. Krasieńskiej miała wprawdzie bardzo wdzięczną powierzchowność, ta jednak finezji zastąpić nie może. Głos niewielki, ale przyjemny; szkoda tylko, że artystka nie zawsze nim odpowiednio włada i gdy wyrzuca jakąś odosobnioną nutę górnego rejestru, chwyta często o pół tonu wyżej.

Właściwie na plan pierwszy wysunęły się tu role męskie. Z nich zaś największą werwą i temperamentem odznaczył się p. Myszkowski, który — na żądanie publiczności — musiał nawet kilkakrotnie bisować wraz ze swym partnerem p. Krawczyńskim. Ten ostatni, jak również p. Bernakiewicz — to nabytki zupełnie dobre.

B. H.

Listy do Redakcji.

Szanowny Redaktorze!

Ja przyrzekłem nowelę p. t. „Zdrada“ Panu, Pan przyrzekł „Zdradę“ czytelnikom swego pisma i obaj zostaliśmy zdradzeni: ja przez różne zdradliwe okoliczności, które mi dotąd nie pozwoliły wykończyć zapowiedzianej noweli, Pan zaś — przezemnie.

Ponieważ wykończenie „Zdrady“ może się jeszcze kilka tygodni przeciągnąć, więc za mimowolny zawód postanowiłem Szanownego Redaktora przeprosić nadesłaniem innej swojej pracy, ukończonej wcześniej. Tą pracą jest pierwszy akt komedji p. t. „Kochankowie“. Akt ten stanowi, może stanowić zamkniętą całość, a zaliczam go do najlepszych swoich utworów.

Niechęć do czytania rzeczy scenicznych jest mi znana ze słyszenia, ale tę niechęć uważam za nierozsądne uprzedzenie i za świadectwo niekulturalności. Mniemam, że ten przesąd, który oddawna przestał istnieć w Anglii, Francji i Niemczech, czego dowodem drukowanie w odcinkach pism dramatów i tragedji w całości, czy ułamkowo, mniemam, że ten przesąd stopniał i u nas. Forma dramatyczna jest najpiękniejszą formą twórczości literackiej.

Pierwszy akt „Kochanków“ wypełniają tylko dwaj bohaterowie. Usiłowałem sprawić, aby wymiana zdań tych dwojga nie była dialogiem, lecz aby była akcją, działaniem. O ile mi się to powiodło, ocenią czytelnicy „Przeгляdu Wileńskiego“.

Łączę wyrazy etc.

Wacław Grubiński.

PRASA POLSKA.

— Protest wiecu polskiego we Lwowie przeciw założeniu uniwersytetu rusińskiego uczynił przykre wrażenie na wszystkich, komu obcym jest duch nietolerancji i szowinizmu. Z mocnym potępieniem tego objawu nacjonalistycznego wystąpił w „Dzienniku Petersburskim“ p. Antoni Wyślouch.

„Dnia 5 maja 20 tysięcy polaków zebrało się celem zaprotestowania przeciw założeniu uniwersytetu rusińskiego.

I stało się to we Lwowie, w mieście, nad którym góruje kopic Unji Lubelskiej, rękami ludu sypany...

W mieście, którego obywatele przed czterema laty zaledwie (marzec 1908) wydali płomienną odezwę, wzywającą do obchodu setnej rocznicy urodzin Słowackiego.

Ten dzień pamiętki, wspomnienia i hołdu miał być „płodnym w następstwa doniosłe społecznym faktem“.

Twierdzą, że „powinien stać się objawem znaczącym naszego duchowego życia, imponującym dowodem naszej cywilizacji“.

Działo się to tak niedawno—a dziś?

Zaiste, życzenia szlachetnych obywateli lwowskich stały się bardziej, niż jałowemi...

Bo 20 tys. zebranych polaków protestuje przeciw uniwersytetowi.

To znaczy przeciw nauce, to znaczy przeciw kulturze, przeciw duchowi postępu.

W cztery lata po obchodzie święta Króla Ducha...

Nie Znamy motywów protestu.

Wystarcza nam cel jego, tak wybitnie antykulturalny.

Rusini nie od dziś dobijają się otwarcia uniwersytetu.

Dawniej stawiano im zarzut, że sił naukowych nie mają.

Wątpię, aby i dziś można było twierdzić to samo.

Ale czy te dwadzieścia tysięcy protestujących polaków można uważać za kompetentnych w tej sprawie?

Kiedy zakładano uniwersytet w Tokio, brakło istotnie sił miejscowych, dostatecznie przygotowanych.

Wówczas zaproszono uczonych z Europy, którzy na początek wykładali w swoich rodowitych językach.

Ale uniwersytet pozostał japońskim, a nie francuskim albo niemieckim.

Wierzmy, że rusini chcą utworzyć dla siebie przybytek nauki; mogą i oni zaprosić na profesorów niektórych uczonych słowiańskich, może nawet i pola-

ków, oczywiście inaczej usposobionych, niż owi protestujący wiecownicy.

To ich rzecz.

Do nas należy w spółdziałać ich słusznym żądanom.

Protestować—nigdy“.

Słuszną uwagę czyni w końcu swego artykułu autor, że kiedy Björnson napadł na polaków za rzekomy ucisk rusinów, wywołało to ogromne oburzenie, a pisarzowi norweskiemu zarzucano lekkomyślność i nieznamość stosunków, a oto „zgrupowanie 20,000 protesujących polaków bardziej zniesławia naród, niż artykuły Björnsona i wszystkie jego zarzuty.

— „Prawda“ się zastanawia, dlaczego duchowieństwo tak srogą karą dotyka bogobojny lud wiejski, gdy obojętnie patrzy na urągliwe bezbożne mieszczanństwo? I tak to tłumaczy:

„Oto inteligienca drwi z bogów, ale szanuje — księdza. Bóg zaś umie przebaczać. C'est son métier — rzekł o nim Heine. Nie przebacza nigdy tylko Kościół. Tylko Kościół potrafi twardo wiekami stać przy swej zemście. Niestety, chłop, który pragnie żyć w zgodzie z Bogiem, nie może się zgodzić z księdzem. Szanuje Boga, nie może tak, jakby pragnął, szanować księdza. Inteligienca, nawet wówczas, gdy szydzi z księdza, jeszcze czczią otacza jego suknię: gardzi człowiekiem, lecz jeszcze wielbi urząd. Owszem, im bardziej depece infułata, tem wyżej stawia infułę. Niestety, lud na tak subtelną dyssekcję pojęć zdobyć się nie może; dekoracyjna wartość Kościoła go nie zadawała; poza dekoracjami obrzędu chciałby ujrzeć człowieka. Nazbyt natrętnie utkwil mu w pamięci jeden z obrazów ewangelji: pobielane groby, zewnątrz powabne, a w środku odrażającej pełne zgnilizny. Chłop jest tak dalece z jednej bryły wyciosany, że wszędzie radby widzieć jednolitość, całkowitość, zgodność. Tak mało się zna na podwójnej buchalterji, że zrozumieć nie może, iż co innego przykazania, a co innego powinno być życie, i za jednym zamachem chciałby zrównać rachunek etyki z rachunkiem uczynków“...

Kler dobrze wie, że dla chłopca parafja jest jedynym wyłącznym środowiskiem. Kler drzwi kościoła nie zamknie przed lekarzem, adwokatem, inżynierem, a nawet robotnikiem, bo ci do drzwi jego rzadko pukają, ale chłopu Kościół zastępuje izbę odczytową, i literaturę, i sztukę, i teatr, i dom ludowy, i galerję obrazów. I dlatego kler użył przeciwko „zaraniarzom“ najskuteczniejszej broni, jaką rozporządza. To też:

„...każdy kamień, który z podszeptu duchowieństwa bratnią ręką ciśnięty w bratnie ugodzi serce, stokrotnym kiedyś ciężarem zwali się na karki kleru, jako hańba wieczna i przekleństwo pokoleń“.

Korespondencje.

Mińsk.

Duże zainteresowanie budzi u nas odczyt p. sła Milukowa, który mówić będzie 10 (23) b. m: w sali klubu Kupieckiego na temat: „Narodowość i Państwo“. Są to pierwsze, że tak powiemy, jaskółki przedwyborcze do IV Dumi. W naszym mieście o ściślejszych naradach dotąd nie było słyhać. Wprawdzie wśród społeczeństwa polskiego w ostatnich czasach nastąpiło pewne ożywienie w tym względzie, porozumiewano się już nieco w sprawie akcji wyborczej i taktyki, tu i owdzie dają się słyszeć debaty nad tą sprawą.

Jest to objaw pocieszający,

Naszem zdaniem każdą kampanję wyborczą

należałoby wyzyskać przede wszystkim dla uświadomienia szerokich mas ogółu naszego społeczeństwa o zadaniach naszych i potrzebach oraz o taktyce rządu względem nas tutaj stosowanej.

Takie ziarna rzucane nawet na grunt najtwardszy, plon zawsze wydają.

Oczywiście, że inne środowiska naszego kraju uświadamiają sobie całkowicie ważność chwili i w miarę możliwości przygotowują się do do akcji wyborczej w tym sensie.

Chcielibyśmy, aby wszędzie, gdzie tylko jest możliwość po temu, wyzyskano ów moment dla wyrobienia politycznego.

* * *

Śmierć Bolesława Prusa odbiła się echem szczerzego żalu i u nas.

Miejscowa gazeta rosyjska „Minskij Gołos“ poświęciła artykuł zacnemu pisarzowi „U mogiły Bolesława Prusa“, w którym podnosi zasługi tego pisarza i wykazuje, iż nie wszystka krytyka oceniała należycie doniosłość pism i pracy tego publicysty i pisarza. Instytucje nasze społeczne jak „Ognisko“ i „Sokół“ — o ile wiemy — nie wysłały depesz kondolencyjnych, nie wyraziły swego hołdu zasłużonemu i przeznaczonemu temu pracownikowi na głębie zachwaszczoną.

A powinny były to uczynić.

* * *

Dzień „Białego kwiatka“ przeszedł u nas z ożywieniem. Pogoda piękna wiosenna, chęć przysporzenia środków na instytucje tak pożyteczne jak walka z gruźlicą, umiejętne zorganizowanie całej akcji — przyczyniły się znacznie do powodzenia finansowego.

W sobotę, t. j. w przeddzień „Białego kwiatka“ dr Malkiewicz wygłosił odczyt o gruźlicy w sali „Sokola“ przed licznie zebraną publicznością.

Gdzieindziej takie odczyty odbywają się zwykle w dzień „Białego kwiatka“ w różnych dzielnicach miasta, zwykle w najruchliwszych punktach, wśród nas, aby nieść tam uświadomienie o tej strasznej pladze ludzkości.

W tym roku „Biały kwiatek“ da mniej prawdopodobnie, niż roku zeszłego. Przede wszystkim jest to drugi podatek społeczeństwa tutejszego na ten cel, powtóre w roku zeszłym urządziło go Towarzystwo Lekarskie miejscowe, obecnie oddział wszechrosyjskiej ligi.

Jednak w dniu tym dowiodło miasto nasze, że umie być czule bez różnicy narodowości na potrzeby społeczne i doniosłe.

Wyjątek stanowili zwolennicy (i to nie wszyscy) „Mińskiego Słowa“, które napadało na „masońskie“ organizacje „Białych kwiatków“.

Leszek Czarny.

NA WIDNOKRĘGU.

Takiej burzy, jaką wywołała mowa posła socjalistycznego, Scheidemanna, o groźbach Wilhelma II względem Alzacji i Lotaryngji, nie było jeszcze w parlamencie niemieckim.

Nie było też tam nigdy tak ostrych przeci-

wieństw, występujących do walki. Słowa, wypowiedziane przez Wilhelma II w Strasburgu, zawierały w sobie poprostu groźbę zamachu stanu. Scheidemann, przedstawiciel potężnego stronnictwa w parlamencie, poseł socjalistyczny, który przez krótką chwilę prezydował nawet Izbie, w której przemawiał, wypowiedział w ostrej i bezwzględnej formie to tylko, co postawie wielu stronnictw oraz przedstawicieli państw związkowych czuli i myśleli, choć nie mogli tego, czy nie chcieli w ten sposób wypowiedzieć.

Stąd prezydent Izby na razie sam nie wiedział, czy przywoływać do porządku posła, który mówił prawdę, tak dalece nie ulegającą wątpliwości, że odczuwały ją całe Niemcy poza skrajną prawicą. Dopiero ostentacyjny „exodus“ ministrów przypomniawszy karność prezydenckiej czuli i znajdują się w państwie, w którym pewne swobody konstytucyjne nie są dozwolone i zaczął przywoływać Scheidemanna do porządku.

Ale nie przeszkodziło to posłowi socjalistycznemu w wypowiedzeniu rzeczy pierwszorzędnej wagi. Całe Niemcy dziś wiedzą już, że cesarz Wilhelm II groził w Strasburgu ludności francuskiej nie tylko w swoim imieniu, ale też w imieniu partji bardzo bliskiej sferom rządowym.

Całe Niemcy wysłuchały też wśród nieopisanego wzburzenia prawicy i entuzjazmu lewicy, niemiłosierniej krytyki Scheidemanna o ustroju Prus, o tem, że „to wstyd być prusakiem“.

Mowa ta jest tak wielkiej doniosłości historycznej, że podajemy ją poniżej w obszernem streszczeniu. Zapowiada ona walkę bezwzględną pomiędzy rządem pruskim a ludem niemieckim i istotnie zdolną jest „obudzić tych, którzy dotychczas spali“.

Scheidemann rozpoczął od ironicznego oświadczenia, że w polityce wdzięczność nie istnieje. Tymczasem socjaliści powinni być właściwie wdzięczni kanclerzowi, pod którego rządem otrzymali 4 i pół miliona głosów i weszli do parlamentu w sile 110 posłów. I byłiby wdzięczni, gdyby nie wiedzieli, że wyniki jego polityki były zupełnym przeciwnieństwem tego, co on chciał otrzymać. Scheidemann sądzi, że żadna partja nie wyraziłaby Bethmannowi-Holwegowi swego zaufania, bo „sztuka nie dogodzenia nikomu jest, według teorii kanclerza — najwyższą sztuką państwową“.

Potem poseł socjalistyczny, zaznaczając, że Niemcy przechodzą okres przejściowy, twierdził, że system rządów osobistych chyli się do upadku, bo sprzeczny jest z uczuciami i życzeniem całego narodu.

„Naród oczekuje od tej Izby — mówił Scheidemann — żeby zapewniła sobie i w razie potrzeby walczyła o odpowiednie jej znaczeniu stanowisko.“

Bezsilność tej Izby musi się skończyć. Nie powinna się już dłużej poniżać przez niekonsekwentne postanowienia. Inaczej musicie zrobić miejsce dla bardziej stanowczych ludzi, którzy nie omieszkają na wzór rzeczypospolitej chińskiej przekształcić Prus — Niemiec w państwo spólczesne“.

„Zaszczyliśmy tak daleko, że naród nie daje już nic na obietnice, ale we wszystkim polega na własnej sile i stanowczości. Niema w żadnej partji rozsądnego człowieka, któryby wmawiał w siebie, że stosunki obecne dadzą się utrzymać. Przez taką politykę prowadzicie lekkomyślną grę, wprost wyzywawielos“.

„Typowy przykład mamy teraz w Alzacji i Lotaryngji“. Scheidemann wylicza kilka przykładów

nadużyć władzy, między innymi cofnięcie zamówień kolei rządowych dla jakiejś fabryki alzackiej, jeżeli ta nie usunie wrogiego Niemcom (według relacji szpiclowskich) dyrektora.

„Oprócz tego—mówił Scheidemann—stały się wiadome wynurzenia cesarza, w których jest mowa o tem, że konstytucję alzacką rozbija na kawałki. Witamy to jako poważne wyznanie, że z kompetentnego źródła wcieleniem do Prus się grozi, jako najsurowszą karą dla narodu za nieposłuszeństwo. To kara, równająca się więzieniu ze stratą honoru obywatelskiego, mianowicie z wcieleniem do Prus.

„Wraz z przeniesieniem do drugiej klasy stanu żołnierskiego, a do najniższej klasy przynależności państwowej, do ziemi pruskiej...” — mówi Scheidemann—ale dalsze jego wyrazy giną w straszliwym zamieszaniu. Znaczna część posłów zerwała się z miejsc, wyrzuca okrzyki „pfuji!”, które zaledwie, że się przedzierają przez burzliwe oznaki uznania. Scheidemann robi szyderczy ruch ręką. Ktoś z prawicy woła: „gdzież są wezwania do porządku?”

Prezydent Kaempf przywołuje mówcę do porządku.

Kanclerz Bethmann-Hollweg wstaje, daje znak innym przedstawicielom rządu i opuszcza z nimi salę. To samo robią przedstawiciele państw związkowych.

Pozostaje tylko podsekretarz ministerjum spraw wewnętrznych, Richter. Część prawicy również opuszcza salę. Socjaliści demokraci wołają za nimi: precz! precz!

Scheidemann mówi dalej. Wyraża przekonanie, że Izba nie zatwierdzi tego, czem grożono względem Alzacji.

„O ile to oświadczenie wywoła wielkie uznanie u przedstawicieli południowych niemieckich państw związkowych, nie wiem, ale chciałbym, żeby który z tych panów, którzy przyłączyli się do wyjścia, powiedzieli później podczas rozpraw, co mają do powiedzenia. Stwierdzam tylko, że prasa żadnej partji, żadnego państwa związkowego nie zgodziła się na to, co cesarz powiedział o Alzacji i Lotaryngji.

„Deutsche Tageszeitung“ uważała słowa cesarskie za tak potworne, że napisała: to są oświadczenia, które współpracownik wrogiego Niemcom dziennika wyssał z palca. A więc wasze oburzenie było nie na miejscu. Alzację i Lotaryngję przerażono, ale co gorsza, to akt, że podnieciono nastrój nacjonalistyczny tych krajów. Znowu mamy do czynienia z arcydziełem dyplomatycznym w odwrotnym kierunku. Polityka jest jednak trudniejszą rzeczą, niż się wydaje.

A oto ciekawa rewelacja, świadcząca, że słowa cesarskie były tylko echem poglądów szerszych warstw konserwatywnych. „W dzienniku „Post“ z dnia 8 maja czytano istotnie to, co w 8 dni później powiedział cesarz. W „Post“ wydrukowano wówczas: „Pozostała jedyna możliwość: szybkie działanie, zniesienie konstytucji i wcielenie opornego kraju do obszaru potęgi i karności państwa pruskiego“.

Dalej Scheidemann stwierdza, że przywódca wolnokonserwatystów, których organem jest „Post“, v. Zedlitz, oświadczył, że kanclerz jest ich towarzyszem partyjnym. „A więc pan kanclerz jest towarzyszem partyjnym pana z „Post“, która na kilka dni przed mową cesarską ogłosiła to, co cesarz powiedział w Strassbourgu“.

Z takimi stosunkami musimy skończyć przez

wzmocnienie parlamentu i przez zdobycie wolnego prawa wyborczego dla Prus. Nie chcemy, żeby Prusy pozostały dłużej niemiecką Syberją!“ (Wielki hałas na prawicy. Oklaski na lewicy. Prezydent wzywa Scheidemanna do porządku).

Wreszcie Scheidemann mówi o usunięciu posła Borchardta z sali sejm pruskiego i oświadcza, że to jest tylko zewnętrzna oznaka rozkładu, oznaka stanu rzeczy nie do zniesienia i nie do utrzymania.

„Nie chcemy zrobić z parlamentu Rzeszy sejm pruskiego—woła Scheidemann. Jest miarodajne dla Prus, że w sejmie tamtejszym ci, którzy nie są przedstawicielami ludu każą prawdziwych przedstawicieli wywłóczyć przez policję! To był czyn symboliczny trójklasowego parlamentu. To są Prusy z całym ich życiem, Prusy, o których jeden z posłów centrowych powiedział, że to wstyd być prusakiem!“ („Bardzo słusznie!“ u soc.; wielki hałas na prawicy. Prezydent wzywa mówcę do porządku).

„To był akt symboliczny sejm pruskiego, który utracił wszelki grunt pod nogami, który używa wszelkich środków, aby utrzymać moc swoją, nawet jałmużny policji“.

„Inicjatorzy tego zamachu będą się zdumiewali niespodziewanymi skutkami swego postępowania. To był strzał sygnałowy, który rozbrzmiewa po krajach niemieckich i wstrząsa tymi, którzy dotychczas spali.

Jakże to pogodzić z paragrafami 105 i 106 regulaminu, który grozi więzieniem temu, który przemocą przeszkadza posłowi w wykonywaniu swego mandatu? Skąd ci ludzie przychodzą do tego, żeby zmieniać prawo państwowe przez rozkaz dzienny? Kto są ci ludzie, skąd biorą prawo grania w parlament? Na mocy jakiego prawa ci ludzie zasiadają wogóle w tym sejmie? Wogóle nie na mocy jakiegoś prawa, tylko na mocy rozporządzenia, zrobionego przed 63 laty przy złamaniu słowa królewskiego. (Ogromne zamieszanie, okrzyki „Pfuj!“, burzliwe oklaski u soc.-dem.).

Prezydent ponownie przywołuje mówcę do porządku!

Gdy później namyślając się, zwlekając, oglądając się, ostatecznie wchodzili napowrót do sali dostojnicy Rzeszy, powitano ich szydercem „Aha!“.

A potem Bethmann-Hollweg miał swoją śmiesznie słabą mowę, która nie zatarła piorunującego wrażenia groźnej mowy Scheidemanna.

KRONIKA.

— Zgon Pietrunkiewicza.

W Jakcie zmarł jeden z głównych przewódców i twórców stronnictwa „kadeków“ — Jan Pietrunkiewicz.

Jan Pietrunkiewicz, urodził się w Czernihowie w roku 1843. Po ukończeniu uniwersytetu wybrany został w roku 1869 sędzią pokoju. W roku 1879 w kołach ziemskich Rosji powstał ruch, mający na celu wywalczenie drogą prawną swobód obywatelskich. Pietrunkiewicz był jednym z wybitnych uczestników tego ruchu, wskutek czego zesłany został w porządku administracyjnym naprzód do Warnawina gub. kostromskiej, następnie zaś do Smoleńska i Tweru. W roku 1886 Pietrunkiewiczowi pozwolono wrócić do gub. czernihowskiej, gdzie na jesieni tego roku wybrany został na radnego gubernjalnego. Doprowadziło to do wystąpienia go z granic gubernatorstwa kijowskiego, do którego należała w tym czasie gub. czernihowska. Osiedlony w Twerze Pietrunkiewicz w roku 1890 wybrany został na radnego gubernjalnego nowotorskiego, następnie twerskiego. W początkach r. 1904

P. wysłany został z gub. twerskiej, lecz w końcu tego roku termin jego zesłania skończył się. W ruchu wolnomyśliciwo 1904 — 1906 roku Pietrunkiewicz brał wybitny udział; był stałym członkiem zjazdów ziemskich i miejskich działaczy i wszedł do składu delegacji, która przedstawiła petycję o konieczności natychmiastowego zwolnienia przedstawicieli narodu. Z chwilą utworzenia stronnictwa k. d. P. został czynnym jej członkiem. Na posła do Dumy wybrany został z gub. twerskiej. Na pierwszym posiedzeniu Dumy Państwowej w roku 1906 Pietrunkiewicz wskazał na konieczność udzielenia natychmiastowej amnestji wszystkim działaczom politycznym. Była to pierwsza mowa, wygłoszona w dopiero co otwartym parlamencie rosyjskim. Pietrunkiewicz należał do wypróbowanych przyjaciół Polaków i obrońców sprawy polskiej. Był jednym z pierwszych, który na zjazdach ziemców popierał projekt autonomji polskiej.

== Henryk Struve.

W nocy z dnia 3 (16) na 4 (17) maja zmarł w mieście Eltham, w Anglii, pod Londynem, 60-letni profesor Szkoły Głównej uniwersytetu warszawskiego, filozof Henryk Struve, w wieku lat 72.

Jako profesor był Struve gorliwym krzewicielem wśród młodych umysłów nauki filozoficznej. Nieograniczając się do wykładów uniwersyteckich gromadził w swoim gabinecie młodzież i urządzał colloquia filozoficzne.

Był to człowiek rzadkiej pracowitości, energii, systematyczności i mocy charakteru, obdarzony umysłem nieposzednim, który na ubogiej niwie myśli filozoficznej polskiej wyźbił ślady głębokie i oddał niespożyte zasługi, nie dając zaniknąć wątlemu strumykowi badań i rozważań filozoficznych. Ze skrzętnością gromadził materiały do historii filozofji w Polsce, czemu poświęcił prawie całe swoje życie i szerzył wiedzę filozoficzną poza wykładami publicznymi, wydając cały szereg rozpraw i dzieł z zakresu filozofji i estetyki. Osobno wydał „Układ logiki“ (1871), „O istnieniu duszy i jej udziale w chorobach umysłowych“ (1867), „Cechy charakterystyczne filozofji i jej znaczenie w porównaniu z innymi naukami“ (1875), „Synteza dwóch światów“ (1876), „Hamlet eine Charakter-Studie“ (po niemiecku) (1876), „Estetyka barw, zasady upodobania w barwach i ich zastosowanie do stroju, sztuki pięknej i wychowania estetycznego“ (1892), wreszcie najkapitałniejsze swe dzieło: obszerny „Wstęp krytyczny do filozofji“ (1896). Oprócz tego przygotował do druku całkowity kurs filozofji i redagował zbiorowe wydanie pism Kremera, do którego napisał: „Życie i prace Józefa Kremera“ (1881). Nadto ogłosił mniejsze prace: „Ks. Franciszek Krupiański, jako filozof“ (1898) i „Anarchizm ducha u obcych i u nas“ (1899).

== Reforma prasy rządowej.

Prezes Rady ministrów postanowił dokonać reformy prasy rządowej. W tym celu zwołany zostanie specjalny komitet. Kokowcew uznaje przede wszystkim za niewłaściwe, by Biuro Informacyjne udzielało informacji prasie za specjalną zapłatą. Rząd nie powinien handlować wiadomościami. Każdy, kto zechce, może w Biurze zasięgnąć informacji potrzebnych bezpłatnie. Biuro rozsyłać będzie tylko rozporządzenia rządowe. Następnie Kokowcew uważa, że niewłaściwie zorganizowany jest dziennik „Rossija“ i reformę jej uważa za konieczną.

== Zamknięcie sesji.

W kuluarach Dumy mówią, że zamknięcie sesji Dumy nastąpi około dnia 1 czerwca, t. j. zaraz przed rozpoczęciem odłożonych z dnia 13-go na 30-go maja uroczystości moskiewskich.

Październikowcy i nacjonaliści postanowili, po zakończeniu rozpraw budżetowych, co nastąpi w połowie maja, natychmiast zacząć rozpatrywanie memorjału komisji pojednawczej o sędzie miejscowym potem zaś przyjdzie kolej na projekty robotnicze, opracowane w tej samej komisji.

Wreszcie też zamyślają o załatwieniu projektu chelmskiego, o ile projekt ten przejdzie w Radzie Państwa i zostanie opracowany w komisji pojednawczej.

I to będą ostatnie prace III Dumy, poza drobnymi projektami terminowymi oraz projektem programu budowy okrętów wojennych.

Pozostałe projekty nie będą już rozpatrywane.

Między innymi trzecia Duma nie zajmie się memorjałem komisji pojednawczej o projekcie wprowadzenia powszechnego nauczania oraz o szkołach początkowych, „ponieważ większość uważa, że różnice zdań pomiędzy Dumą i Radą Państwa w tej sprawie są nie do usunięcia, wobec tego rozprawy byłyby tylko stratą czasu“...

Stanowczo powszechne nauczanie nie ma szczęścia.

== Dar tkaczy saskich.

Posłowie socjalistyczni sejmu pruskiego otrzymali od tkaczy saskich dar niezwykły — materiał na sześć kamizelek. List do daru dołączony opiewa, że tkacze słyszeli, iż podczas usuwania posła Borchardta z sali sejmowej, policja podarła socjalistom kamizelki. Przesłany materiał ma zatem dać posłom możliwość powetowania wyrządzonej szkody.

== Przeciwno koedukacji.

Minister oświaty Kasso, jak się okazuje, jest zdecydowanym przeciwnikiem systemu koedukacji i zamierza wystąpić energicznie przeciwko wspólnemu nauczaniu dzieci płci obojczy. Wyraz temu dał w całym szeregu odmownych odpowiedzi na starania, poczynione przez zakłady naukowe o wprowadzenie koedukacji i rozszerzenia ich działalności. Kurator moskiewskiego okręgu naukowego dał do zrozumienia, że zakłady, propagujące system koedukacyjny, zosną zamknięte. Według prawa rosyjskiego wspólne uczenie się chłopców i dziewcząt dozwolone jest najpóźniej do 13 roku życia dziewczynek. W wyjątkowych wypadkach trzeba było uzyskać specjalne Najwyższe pozwolenie. W Moskwie, w obawie, aby rozporządzenie ministra nie spadło nagle, niektóre zakłady naukowa przekształciły się niedawno na „jednopłciowe“. Inne zakłady trwają w oczekiwaniu.

== Konsekwencja przekonań.

Profesor uniwersytetu petersburskiego, rz. r. st. akademik Markow, wykładający teorię prawdopodobieństwa, nadesłał do Synodu prawosławnego zawiadomienie, że ponieważ nie uznaje dogmatów cerkwi prawosławnej, przeto prosi o wykreślenie go z listy jej wyznawców. Na skutek tego zawiadomienia metropolita petersburski wydelegował protojereja Ornatskiego do „przekonania“ akademika Markowa, ten jednak wcale go nie przyjął. Wobec tego władzom cerkiewnym nie pozostało nic innego, jak odłączyć go od cerkwi. Akademik Markow nie pozostaje zatem obecnie w żadnych stosunkach z cerkwią prawosławną i traktowany będzie przez nią w razie śmierci, jako poganin. W rozmowie ze współpracownikiem „Birż. Wied.“ akademik Markow oświadczył, że, jako ateusza, nie obchodzi go nie kwetja, jak odbywać się będzie jego pogrzeb.

Treść numeru.

- O potrzebie programu ludowego. — M. Rømera.
Ewolucja własności ziemskiej i ruch kooperacyjny. — Z. Kuncewicz.
Listy z Galicji. — L. Kulczyckiego.
Bolesław Prus.
Z księgi ciszy. — J. St. Wierzbickiego.
Tragizm bezpartyjności. — bh.
Sezon letni. — B. H.
Prasa polska, Korespondencje, Na Widnokręgu, Kronika.
Odcinek: „Kochankowie“. — W. Grubińskiego

Żądajcie wszędzie „ODOBRIN“
tylko MICHAŁA LEBIEDIEWA.

Tępi odciski



i brodawki z korzeniem

MAGAZYN MEBLI

B. Mołodeckiego i S-ki

Wilno, Wileńska № 26

vis a vis Dobroczyńności
i Świętojerski prospekt № 21.

Wielki wybór mebli po cenach
bardzo dostępnych.



POZYTYW

Radykalny środek
od łupieru.

Przeciwko
wypadaniu włosów.

Wzmocniają
ich prost

K. ERMANS i S-ka Moskwa.

Informator Handlowy.

BIURO PRZEPISYWAŃ
A. Skarzyńskiej

Wilno, Tatarska 12. Telefon 1002.
POŚPIECH i DOKŁADNOŚĆ.

SZEW C

T. KRZYŻANOWSKI

Wilno, Bonifratska (Preobraż.) № 8.
Obuwie gotowe i na obstalunek.

St. Stefanowski

i **J. Marciniak**

Pracownia kostjumów, okryć oraz futer
damskich

Wilno, ulica Wielka № 20a.

KSIĘGARNIA

KULTURA Wilno,
Dominikańska 14.

PRENUMERATA PISM.
Wszelkie nowości.

Poślijcie rb. 1,80 w liście
gotówką 1 rb., a 80 kop. markami poczt.

a otrzymacie obraz wielkiego formatu w ramach rzeźbionych, lub kapliczkę z muzyką wartości do 4 rubli. Kto przyśle 2 rub. otrzyma książkę p. t. „Kobieta le-karką domową“ wartości 5 rb., albo 1.50 otrzyma 2 tomy p. t. „Ojczyzna w piśmie i pomnikach“, wartości do 4 rubli. Posyłajcie zaraz całego rubla gotówką, a resztę markami pocztowemi. Obrazy i książki są wspaniałą ozdobą każdego domu, spieszcie się, bo niewielki jest zapas. Adres piszcie po polsku.

Obrazy polskie, ruskie i niemieckie.

Porto 3 razy większe jak w Galicji t. j. 80 kop.

Przyjmuje się marki pocztowe wszystkich krajów i liczy jako gotówkę. Kto życzy sobie bliższych informacji należy załączyć markę listową na odpowiedź. Proszę posyłać 80 kop. markami pocztowemi na opłacenie paczki obrazów, nieopłaconych nie wysyłam, z powodu nieprzyjęcia poniosłem znaczne straty. Stosowne nietylko dla włościan ale dla inteligencji i dla duchowieństwa i t. p.

Proszę o wyraźny adres.

J. J. Bystryk.

w Majdanie ad Kolbuszowa Galicja-Austrja.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

L. KRZYWICKIEGO

W OTCHŁANI.

Rozbiór wpływów, wywieranych przez ustrój społeczny na moralność, naukę, literaturę i sztukę.

Str. 292. Cena 1 rb. 60 kop.

Dla prenumeratorów „Przeglądu Wileńskiego“ cena zniżona
do 1 rb. (bez przesyłki).

ŚWIEŻO OPUŚCIŁY PRASĘ
NAKLĄDEM TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW.

WŁOCHY NOWOCZESNE

Dzieje ostatnich lat stu pięćdziesięciu

napisał **Pietro Orsi**, prof. historyji w Padwie. Z upoważnienia
autora przełożył i uzupełnił **Stanisław Posner**.

BARDZO DUŻA ŚCIENNA KOLOROWANA

MAPA LITWY i RUSI

(Litwa, Białoruś, Podole, Wołyń, Ukraina)

oprac. na podst. najnowszych źródeł przez **J. M. Bazewicza**

z oznaczeniem: miast, miasteczek, osad, wsi, rzek, gór, dróg żelaznych, bitych, gościńców i zwyczajnych z odległościami, z podziałem na gubernje i powiaty w arkuszach rb. 4, na płótnie rb. 5.50, z teczka rb. 6.75 przes. kop. 75, wern. z walkami rb. 8, przes. rb. 1.50.

J. M. BAZEWCZ.

Warszawa, Jerozolimska № 25.